Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 7 (1210) ROK XXIV 15 LUTEGO 1981 R. CENA 3 ZŁ

wszyscy liczą na NIK

Rozmowa z WŁODZIMIERZEM TWARDOWSKIM dyrektorem łódzkiej delegatury Najwyższej Izby Kontroli

— Ludzie wiążą dziś wiele nadziei z kontrolami NIK-u, które w powszechnym odczuciu uporać się mają z ogromem zła i bezprawia, nadużyć i przestępstw, sięgających swoimi korzeniami w minioną dekadę. Czy przeciętny Polak nie przecenia przypadkiem NIK-u? Czy zbyt wiele od niego nie oczekuje? Statutowe zadania Najwyższej Izby Kontroli mają przecież stosunkowo wąski zakres.

— Prawdą jest, że z naszą działalnością ludzie wiążą duże nadzieje, mają też do nas spore zaufanie. Wszyscy Polacy chcą przecież ładu, porządku i sprawiedliwości. Wiele oczekują w tym względzie nie tylko od nas. Duże — na przykład — nadzieje wiążą z działalnością Sejmu PRL, który jest przecież zwierzchnikiem NIK-u. Sejm może więc zlecać Najwyższej Izbie Kontroli różne zadania, może je zlecać również Rada Państwa, a także — na mocy uchwały o NIK-u — NIK może podjąć działanie na wniosek prezesa Rady Ministrów. Do tego zaś dochodzą liczne inicjatywy własne, zgodne z założeniami statutowymi, a tradycyjnie należące do zasięgu zainteresowań NIK-u. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że minęło już ponad półtora wieku od chwili wyłonienia w Polsce pierwszego organu kontroli państwowej, którym była — jak pamiętamy — Główna Izba Obrachunkowa, utworzona 14 grudnia 1808 roku. 7 lutego natomiast mijają 62 lata od chwili powołania do życia — dekretem Naczelnika Państwa — właśnie Najwyższej Izby Kontroli. Jak w przeszłości, tak i teraz zakres działania naczelnego organu kontroli państwowej jest bardzo szeroki. Można zatem powiedzieć, że przeciętny Polak chyba NIK-u nie przecenia. Zwłaszcza, że ugruntowana jest w społeczeństwie świadomość tego, że wyniki naszych kontroli są niepodważalne, same zaś kontrole mają charakter kompleksowy, a prowadzone są w oparciu o zasadę kontradyktoryjności, która stanowi dodatkową gwarancję rzetelności i obiektywizmu, a więc w końcowym efekcie — sprawiedliwości. Zadaniem każdej absolutnie kontroli jest ocena badanej rzeczywistości prowadząca do wykrycia wszelkich zahamowań czy nieprawidłowości danego odcinka życia społeczno-gospodarczego. Wykrycia ich, a następnie — jak najszybszego usunięcia. Tu chciałbym zaznaczyć, że stosowane przez NIK kary i represje mogą być co najwyżej skutkiem kontroli, nigdy zaś jej celem. Głównym bowiem zadaniem Najwyższej Izby Kontroli jest pomoc w rozwiązywaniu problemów i usuwaniu nieprawidłowości, cała więc jej działalność ma charakter na wskroś konstruktywny. W tym miejscu można przytoczyć cytat z „Traktatu o dobrej robocie" profesora Kotarbińskiego: „Uświadomienie niedomagań i możliwości ich usuwania jest prawdziwym początkiem naprawy". Teraz, kiedy rozlegają się dramatyczne niekiedy wołania o naprawę Rzeczypospolitej, jeszcze większą wagę przywiązuje społeczeństwo do naszej pracy. Zapotrzebowanie na tę pracę fakty-

Dalszy ciąg na str. 3

W końcu grudnia ub. r., w Uniwersytecie Łódzkim odbyła się konferencja naukowa nt. „Reforma gospodarcza, a warunki porozumień społecznych". Zorganizował ją MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej, a z ramienia Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego — organizacja „Solidarności" na tym wydziale. Obszerny materiał z konferencji, pt. „Stan umysłów", zamieściliśmy w nr 2 „Odgłosów". Obecnie rozpoczynamy druk referatów wygłoszonych podczas konferencji.

Publikację dr Waldemara Kuczyńskiego, obserwatora — z ramienia „Solidarności" — prac komisji rządowej d.s. reformy gospodarczej, przygotowaliśmy w oparciu o zapis magnetofonowy jego wystąpienia. Tytuł pochodzi od redakcji.

Waldemar Kuczyński

sytuacja gospodarcza i prawdopodobny jej przebieg

Foto: A. Wach

Skonstruowanie obrazu sytuacji gospodarki nie jest rzeczą łatwą, przed wszystkim dlatego, że rok 1980 był rokiem niezwykle bogatym w wydarzenia zachodzące w wielu elementach rzeczywistości gospodarczej. Oprócz tego trudno jest przedstawić sytuację człowiekowi, który nie ma dostępu do nie publikowanych raportów. Informacje, z których korzystałem, to — po pierwsze, Rocznik Statystyczny, jeżeli chodzi o sytuację w roku 1979 i w latach wcześniejszych. Biuletyn Statystyczny, ostatni z października 1980 r., rubryka aktualności w „Życiu Gospodarczym", następnie artykuły publikowane w piśmie partyjnym „Zagadnienia i Materiały", wreszcie artykuły publicystyczne drukowane w „Życiu Gospodarczym" i w innych tygodnikach społeczno-gospodarczych, a także informacje z prasy codziennej. To oczywiście osłabia możliwość wnioskowania, więc prosiłbym o zachowanie rezerwy w stosunku do tego, co będę mówił.

Tradycyjnie rozumie się przez sytuację gospodarczą zestaw pewnej liczby makroekonomicznych wskaźników oraz relacji pomiędzy nimi. Ten zestaw porównuje się albo z rokiem poprzednim, albo z jakimś stanem pożądanym (np. w stosunku do planu) bądź w stosunku do wzorców wypracowanych przez naukę ekonomii i na tej podstawie mówi się, że gospodarka zmieniła się korzystnie albo niekorzystnie. Również na tej podstawie wydaje się oceny polityki gospodarczej, tzn. przedsięwzięć władz gospodarczych mających na celu takie czy inne ukształtowanie wielkości wskaźników makroekonomicznych i relacji pomiędzy nimi.

W poprzednich latach takie podejście wystarczało ponieważ zmiany w rzeczywistości gospodarczej były ograniczone. W tym roku natomiast sytuacja ta uległa zmianie ponieważ oprócz tego że zmieniły się wskaźniki wystąpiły takie fakty, jak: powstanie „Solidarności", odejście poprzedniej ekipy, w tym również ekipy kierującej gospodarką, rozpoczęcie dyskusji na tematy gospodarcze, odblokowanie bardzo wielu informacji, podjęcie prac nad reformą gospodarczą, ożywienie Sejmu, jeżeli chodzi o problematykę gospodarczą.

To wszystko są zmiany, które możemy traktować jako zmiany w rzeczywistości gospodarczej, lub w rzeczywistości pozagospodarczej, która się z gospodarką styka. Co więcej, można powiedzieć, że **zmiany ostatnie są, jeśli chodzi o wymiar historyczny, znacznie ważniejsze w tym roku od zmian wskaźników gospodarczych.** W związku z tym, proponuję wprowadzenie na potrzeby tego referatu, rozróżnienia — na **wskaźniki** działalności gospodarczej i na **przesłanki** działalności gospodarczej.

Jeżeli chodzi o przesłanki to uległy one, jak się wydaje, wręcz rewolucyjnej poprawie na lepsze. Po raz pierwszy powstała w krajach socjalistycznych autentyczna reprezentacja interesów społecznych w postaci „Solidarności". I miejmy nadzieję — w postaci „Solidarności" wiejskiej. Reprezentacja interesów pracowniczych, konsumpcyjnych, ale chyba można powiedzieć, że również w ogóle interesów społecznych. Po drugie, **odeszli najgłówniejsi autorzy i wykonawcy dotychczasowej fatalnej polityki gospodarczej lat siedemdziesiątych.** W związku z tym powstała szansa, że na ich miejsce mogą przyjść lepsi. Następnie, **społeczeństwo przywróciło sobie prawo wypowiadania się w sprawach publicznych,** w tym również w sprawach gospodarczych; podcięto bardzo wiele korzeni cenzurze. Zmalało lub znikło wiele „tabu". Wreszcie **powróciła na wokandę sprawa reformy,** i to — jak się wydaje — powróciła z bardzo realnymi szansami na jej pomyślne doprowadzenie do końca.

Równocześnie wskaźniki gospodarcze uległy drastycznemu pogorszeniu. Jeżeli w latach poprzednich, gdzieś od roku 1977, sytuacja gospodarcza pogarszała się, jeżeli tak można powiedzieć, stopień po stopniu, to w roku 1980 pogorszyła się ona o dwa stopnie, a pesymista mógłby nawet powiedzieć, że zlecieliśmy ze schodów. Podstawowymi przyczynami tego pogorszenia są te same przyczyny, które występowały już w roku 1973, gdy obecny kryzys gospodarczy się wykluwał, i w roku 1976, gdy był on jeszcze widoczny, choć wtedy można było go jeszcze „obejść", i w roku obecnym, kiedy chwycił nas mocno za gardło.

Dalszy ciąg na str. 4—5

RYSZARD BINKOWSKI

mała ubojnia

W ciężkich czasach — „za Niemca", jak mówią na wsi — świnie rosły przez dwa lata i urość nie mogły. Wyczulony na „ordung" skrupulatny okupant liczył każdą sztukę, zapisywał i zakładał małej śwince kolczyk na ucho. Po kilku miesiącach chłopi zdejmowali kolczyki, wsadzali świniaki do „schowka", gdzie tuczyły się do pełnej wagi, a kolczyki zakładali małym prosiętom. Dzięki temu, w walizkach, pod płaszczami i spódnicami mogła jechać ze wsi do miasta świeżutka rąbanka.

Przyszła wolność, czasy stały się radosne, ale wcale nie lekkie. I dlatego na dwadzieścia pięć lat przedłużono erę kontyngentów. Teraz świnie jechały do miasta na umajonych furmankach, z orkiestrą i transparentem. A specjalne ekipy kontrolne węszyły po kułackich obejściach i co żywe, temu nie przepuściły żeby było więcej. Jak taki kułak ubił nielegalnie świnię, to był takim samym wrogiem, jakby dokonał zamachu na socjalistycznego wójta, i zaraz szedł siedzieć.

Kontyngenty zniesiono, proponując chłopom dobrowolną kontraktację. Jeśli jednak chłop się nie wywiązał z kontraktacji, często z przyczyn tzw. obiektywnych (brak pasz, upadki zwierząt), to zaglądano mu podejrzliwie do garnka i do kieszeni. Węgla nie dostał i nie wolno mu było zabić świni na własne potrzeby. I gdzie on wówczas miał się zaopatrywać w mięso? Jechał do miasta, bo w okolicy małe, prywatne masarnie polikwidowano, a z centralnego rozdzielnika do gmin spływało tyle mięsa co kot napłakał.

Rolnicy mieli kłopoty z uzyskaniem zezwolenia na ubój gospodarczy, tak jakby pomniejszali dostawy mięsa na rynek. A przecież sami tego nie zjedli. Czemu więc nie pozwolono im sprzedać legalnie rąbanki sąsiadom? Dlaczego na wsi musiało obowiązywać fikcyjne prawo tzw. „darowizny", według którego sprzedać nie było wolno, ale podarować tak, po pięć kilogramów każdemu z sąsiadów? A ileż było (i jest nadal) kłopotów z tym zezwoleniem! Trzeba szukać lekarza sprowadzać go do obejścia, albo wozić świńskie zwłoki po dziesięć kilometrów na badania do gminy. Zanim pozałatwia się formalności, odechce się jeść świniny.

Nadszedł chyba czas kiedy będziemy musieli przeprosić chłopów za takie traktowanie. A także za to, co się dzieje ze z trudem wyhodowanymi przez nich tucznikami i bydłem rzeźnym. Widzieliśmy na filmie zawalone punkty skupu, w których słaniało się na nogach tragicznie wychudzone bydło. Stało tam po dwa tygodnie, często bez paszy i wody, męcząc się i tracąc na wadze po dwadzieścia kilogramów. Brakowało transportu lub miejsca w rzeźni. A potem zagłodzone zwierzęta wożono jeszcze po kilkadziesiąt, a nawet po kilkaset kilometrów do odległych zakładów mięsnych. I nie znalazł się nikt logicznie myślący, kto zaleciłby kierowanie zwierząt do najbliższych ubojni. Mięso zresztą także wozi się z jednego krańca Polski w drugi. Czy nie można było dokonywać uboju na miejscu, w gminie? Ano nie, bo nie każda gmina posiada ubojnię. **W ten sposób, wskutek przetrzymywania zwierząt w punktach skupu, w skali kraju przepada tysiące ton mięsa, a jednocześnie, poprzez „przerzuty" zwierząt**

Dalszy ciąg na str. 5

Miła uroczystość odbyła się w miniony piątek w Zespole Bibliotek Rejonowych dzielnicy Polesie. Zespołowi temu nadano imię Jana Augustyniaka, pierwszego bibliotekarza Łodzi, wybitnego działacza społecznego. Uroczystość zgromadziła bibliotekarzy, działaczy kulturalnych i oświatowych. Była obecna również córka Jana Augustyniaka — Danuta Kułakowska. Uroczystość uświetnił swoją obecnością prof. dr hab. Witold Stankiewicz, dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci patrona. Goście zwiedzili wystawę pt. „Jan Augustyniak — bibliotekarz i działacz społeczny" oraz wysłuchali prelekcji Izabeli Nagórskiej o „Organizacji bibliotekarstwa publicznego w Łodzi w ujęciu J. Augustyniaka" oraz dr Janusza Dunina pt. „Jan Augustyniak wśród bibliofilów".

W ciągu ostatniego tygodnia w dwu łódzkich teatrach odbyły się premiery. 6 lutego w Teatrze 7.15 — premiera sztuki St. Friedmana i Jonasza Kofty „Fachowcy". Autorem scenografii jest Alicja Wirth-Przybora, muzykę skomponował Jacek Mikuła, choreografię opracował Jerzy Graczyk, kierownictwo muzyczne sprawuje Piotr Hertel.

W przedstawieniu udział biorą: I. Burawska, A. Krawczykówna, B. Marszałek, A. Herder, G. Herman, A. Jędrzejewski, I. Kwaskiewicz, A. Kierec, M. Kołaczkowski, W. Kwaskowski, S. Kwaśniak, H. Staszewski, E. Wałaszek, B. Wróblewski.

Natomiast 8 lutego, na Małej Scenie Teatru im. S. Jaracza odbyła się premiera sztuki Laszlo Gyurok „Elektra moja miłość". W spektaklu udział biorą: M. Kozierska, B. Pawelec, M. Rogacka-Wiśniewska, A. Benczak, A. Głoskowski, K. Iwiński, S. Jaroszyński, S. Jaskuła, A. Mikołajczyk i M. Wojciechowski.

KRONIKA KULTURALNA

Spektakl reżyseruje Jacek Andrucki, scenografię opracowała Małgorzata Treutier, autorem muzyki jest Piotr Hertel, a ruchem scenicznym kieruje Janina Niesobska.

W Centrum Kultury Włókniarzy „Dąbrowa" odbyła się premiera monodramu „Może ci przyjdzie dźwigać większy ból", w wykonaniu Marii Sowińskiej. Wykonawczyni jest laureatka ubiegłorocznych X Ogólnopolskich Spotkań Amatorskich Teatrów Jednego Aktora w Zgorzelcu.

Jednocześnie zaprezentowany został inny monodram pt. „Skąd ta wrażliwość", w wykonaniu Włodzimierza Maciudzińskiego — aktora Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu, laureata Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Jednego Aktora, który odbył się w roku ubiegłym w Toruniu.

Współpraca łódzkiego Teatru Muzycznego z teatrem w Tbilisi trwa już wiele lat i rezultatem było wiele ciekawych inscenizacji przygotowywanych wspólnie przez artystów polskich i radzieckich. Obecnie w Łodzi trwają próby do nowej premiery. Będzie to „Rycerz Sinobrody" J. Offenbacha. Od kilku dni w naszym mieście gości znany doskonale łódzkim melomanom i teatromanom gruziński artysta — Guram Meliwa. Niebawem przybędą także inni współrealizatorzy tego spektaklu: A. Mamacaszwili — kierownik muzyczny, M. Zarecki — choreograf i D. Nakaszidze — pianista-konsultant. Premiera „Rycerza Sinobrodego" już w marcu.

Nakładem Wydawnictw i Nagrań Polskiego Związku Niewidomych ukazała się systemem Braille'a książka Horacego Safrina „Przy szabasowych świecach".

Warte również podkreślenia, że autor za życia zrzekł się honorarium za powyższe wydanie.

W ubiegłym tygodniu gościnnie w Łodzi, w Teatrze Wielkim, wystąpił Zygmunt Latoszewski. Poprowadził spektakl „Hrabiny" Stanisława Moniuszki.

W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. H. Sienkiewicza czynna jest wystawa malarska Józefa Skrobińskiego.

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, Łódzki Dom Kultury i Stowarzyszenie Plastyków-Amatorów są organizatorami konkursu amatorskiej plastyki artystycznej pod hasłem „Łódź — moje miasto".

Na konkurs można nadsyłać prace malarskie, rysunki, grafikę i rzeźby. W konkursie uczestniczyć mogą wszystkie osoby dorosłe z Łodzi i województwa, niezrzeszone w ZPAP; nie mogą brać w nim udziału także uczniowie i absolwenci wyższych i średnich szkół plastycznych.

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie do czterech prac nigdzie nie prezentowanych i nie nagradzanych na innych konkursach. Termin nadsyłania prac do 4 marca.

Bliższych informacji na temat konkursu udziela Biuro Wystaw Artystycznych, ul. Wólczańska 31/33 oraz sekretariat Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych, ul. Moniuszki 5.

PRZEGRANA SEKRETARZA

Rezygnacji Edmunda Wojnowskiego, byłego I sekretarza KW PZPR w Olsztynie, nie sposób tłumaczyć fatalnym wyrokiem sił opatrzności. Trzeba wytłumaczyć działaniem sił politycznych, które wyzwolił Sierpień. Działaniem spontanicznym i żywiołowym mieszkańców województwa, przez to dość malowniczym, ubarwionym plakatami, ulotkami, oszczerstwami, aresztowaniami i strajkami.

Fakty przedstawiła już telewizja, rozpalając dyskusje i chyba zaciemniając nieco obraz konfliktu między olsztyńską „Solidarnością" i Komitetem Wojewódzkim partii. Przyczyna konfliktu jest prosta i banalna. Sekretarz nie zaakceptował „Solidarności", Związek odpłacił pięknym za nadobne.

Powiada Machiavelli: *„Temu wiedzie się dobrze, którego sposób postępowania odpowiada jakości czasów, natomiast nie szczęści się temu, którego postępowanie nie jest zgodne z czasami".*

Znamienne słowa wypowiedział szef MKZ na początku stycznia: *„Kiedy mieli rejestrować „Solidarność", pan Wojnowski jeszcze wtedy nie wiedział, że jednak zarejestrują i chciał nam tu urządzić noc długich noży. Zmobilizował ORMO, MO i straż".*

Wojnowski utrzymuje, że nie jest wrogiem „Solidarności". Ale jednocześnie uważa, że rozbicie ruchu związkowego jest niekorzystne dla kraju i dla ludzi pracy. Że stare związki są reformowalne, co oznacza, że nowe po prostu zbędne.

Zdarzało się Wojnowskiemu w miejscach publicznych powiedzieć, iż raczej kaktus na dłoni mu wyrośnie, niźli dopuści do rozkwitu „Solidarności". Tym samym nierozważnie popełniał kardynalny grzech. Machiavelli poucza: *„Powinien przeto książę bardzo nad tym czuwać, by z ust jego nie wyszło nic, co by nie było przejęte pięciu zaletami i by temu, kto go widzi i słyszy wydawał się cały miłosierdziem, cały wiernością, cały ludzkością, cały prawnością, cały religijnością".*

Zresztą identyczny błąd popełniają, niedoświadczeni politycznie, przedstawiciele Prezydium MKZ, kiedy przed telewizyjnymi kamerami przyznają się, że szukali kruczków i haczyków, by skosić sekretarza. Chronologicznie, pierwszy haczyk nie osiada w celu. Wojnowski jakoby nielegalnie przyjął 50 tysięcy z Olsztyńskich Zakładów Opon Samochodowych. Oskarżenie rozkolportowano w całym województwie. Na co sekretarz zareagował prawidłowo. Wniósł sprawę do prokuratora. I na razie wszystko wskazuje, że Łukomski, który firmował swoim nazwiskiem ulotki z zarzutem, podłożył swą głowę pod topór. O niczym jednak nie można przesądzać. Zawsze zachodzi prawdopodobieństwo, że zarzut okaże się prawdziwy, bądź „Solidarność" wybroni Łukomskiego strajkiem.

Następnym, lecz tym razem skutecznym haczykiem, stała się sprawa poniemieckiego domku, który sekretarzowi wyremontowały państwowe przedsiębiorstwa, on zaś przedsiębiorstwom nie zapłacił.

Co tłumaczy następująco:

„Podnoszone przez „Solidarność" pewne nieformalności, które w wyniku załatwiania spraw domku zostały popełnione przez moich kolegów, działają na wyobraźnię tysięcy. Funkcjonuje z powodzeniem modny slogan, że każdy, kto był przy władzy, jest złodziejem. Ludzie, którzy dobrze mnie znają, wiedzą, że do tych rzeczy (czytaj kradzieży — pl) *nigdy bym nie dopuścił, ale przecież dobrze może mnie znać kilkaset osób, a nie 670 tysięcy mieszkańców województwa. To jest dla mnie najbardziej dokuczliwe i bolesne moralnie'..*

Właśnie to, że uczyniono zeń złodzieja. Bardzo mocno to przeżył. Był bliski załamania psychicznego. Złożył rezygnację. *„To wrak nie człowiek* — twierdził prokurator wojewódzki. — *Stracił stanowisko sekretarza i być może straci legitymację poselską".*

Po złożeniu rezygnacji wysłano go na parodniowy odpoczynek. Powrócił do Komitetu na dzień przed Plenum, które przyjęło jego dymisję. W ten przedostatni dzień udało mi się z nim rozmawiać.

Uśmiechnięty i spokojny. Przekonany o słuszności swego stanowiska politycznego.

— Czy towarzysz traktuje zarzuty „Solidarności" jako sprawę osobistą czy jako sprawę partii?

— Gdyby to była tylko sprawa osobista, gdybym był o tym przekonany, to dawno bym w sposób kategoryczny i stanowczy wycofał się ze swoich funkcji.

Ustąpienie we właściwej chwili jest dla polityka nadzwyczaj trudnym zadaniem. Skoro Wojnowski popełnił błąd, publicznie występując przeciw „Solidarności", nie powinien popełnić drugiego, tzn. trwać do końca.

Albo współpracownicy, pojmujący, że wraz z jego upadkiem utracą swe stanowiska, nakłaniali go do uporczywego trwania na posterunku, przekonując go, że wojnę wygra, albo wyjaśni nam jego postawę kapitalna uwaga Maria Puzo zawarta w „Ojcu chrzestnym":

„Gdyby piorun strzelił w jego przyjaciela, ojciec wziąłby to osobiście. Moje wstąpienie do piechoty morskiej wziął osobiście. Dlatego właśnie jest wielki. Wielki Don. Wszystko bierze osobiście. Jak Bóg. Wie o każdym piórku, które wypada wróblowi z ogona i wie, gdzie ono zlatuje... Wypadki nie zdarzają się ludziom, którzy je traktują jako osobistą zniewagę".

Wojnowski atak „Solidarności" odebrał przede wszystkim osobiście. I to spowodowało, że podjął walkę. Ale nie mógł jej wygrać, to oczywiste, bo nie mógł się posłużyć metodami gangsterskimi.

Miał przeciwko sobie tysiące ludzi, których oślepiły działające na wyobraźnię przypadki Szczepańskiego, Tyrańskiego, ośrodek rządowy w Łańsku, wreszcie braki rynkowe i ulotki „Solidarności" o przewinieniach sekretarza. Zauważa Machiavelli: *„Dla księcia jest rzeczą konieczną mieć przychylność ludu, bo inaczej braknie mu w nieszczęściu oparcia".*

Nie miał tej przychylności. Wiele czynników pozbawiło go jej. Nie on sam ponosi odpowiedzialność za błędy ostatnich lat. Ale on — w tym przypadku — jest personifikacją tego okresu. Sądzą ludzie, że wraz z Wojnowskim przeminie epoka, w której rządził.

„Jednym z najskuteczniejszych środków, jakie książe ma przeciw spiskom, jest nie budzić nienawiści i powszechnego lekceważenia. Kto bowiem spiskuje, jest przekonany, że przez śmierć księcia zadowoli lud..."

Zadowolenie i animusz, ba, zacietrzewienie, udziela się osobom odwiedzającym siedzibę MKZ, przy ul. Dąbrowszczaków. W dwu niewielkich pokojach jest gwarno i ciasno, na ścianach ogłoszenia, ulotki i karykatura Wojnowskiego. Twarz z charakterystycznym wąsikiem i podpis „AKCJA MUNDEK".

Przez parę miesięcy Olsztyn upaja się konfliktem, swą siłą, że oto nadeszła pora rachunków, kiedy władza ugnie się przed „szarym człowiekiem".

Gdy profesor Tadeusz Krzymowski, wybitny fizjolog, był rektorem ART w Olsztynie, Wojnowski był I sekretarzem partii na uczelni. *„Rzadko się zdarza* — mówi profesor — *żeby rektor i sekretarz nie mieli ze sobą konfliktów. A nam się udawało świetnie współpracować. Uważam, że jest to bardzo inteligenty człowiek, chociaż ostatnio nie podzielam jego stanowiska politycznego. Zawsze jednak darzyłem go szacunkiem. Co do domu w Pluskach... nie sądzę, żeby to była kradzież. Już raczej urzędnicy chcieli mu się przybodobać. Trzeba być człowiekiem wielkiej klasy, żeby się przed tymi mechanizmami obronić".*

Zwłaszcza, gdy jest się chorym i nie ma widoków na powrót do zdrowia. Bo sekretarz, od jesieni 1978, po wypadku samochodowym, na rok trafia do szpitala. W tym czasie jego koledzy z KW pośredniczą w załatwianiu operacji remontowych w domu we wsi Pluski, dość zresztą mizernej budowli, o powierzchni — 54 m kw.

Z krótszą nogą i prawie całkowitą ślepotą, prawie całkowitą ślepotą prawego oka, z ogólnie zrujnowanym organizmem, wyszedł ze szpitala.

Rozmawiając ze mną stopniowo przestaje się uśmiechać. Na czoło występują krople potu, szybko się męczy. Ale próbuje być pogodny i rzeski, chociaż wiem, że po rozmowie ze mną jedzie do lekarza.

— Co towarzysz uważa za swój najcięższy grzech?

(Długo milczy)

— Nie odpowiem wam na to pytanie, bo się nad tym nie zastanawiałem...

(Milczenie staje się niezręczne)

— Co towarzysz uważa za największe osiągnięcie swego życia?

— Są pytania, które wymagałyby głębszego przemyślenia. Uważam, że jestem przeciętnym człowiekiem...

(Znów nieznośnie milczenie)

— Towarzyszu, nie każdy jest I sekretarzem.

— To prawda... Mój osobisty sukces to na pewno zrobienie doktoratu i wydanie książki, za którą otrzymałem nagrodę „Polityki". Jeśli chodzi o grzech... to chyba, ogólnie formułując, nie dość częsty kontakt z organizacjami robotniczymi i z aktywem partyjnym i robotniczym. To jest na pewno grzech. Bo... w tej ostrej fazie strajkowej, sierpniowej, okazało się, że można bardzo szybko, może to „bardzo" darujemy sobie, dojść do porozumienia z robotnikami, jeżeli się stawia sprawę jasno, jeżeli potrafi przyjąć ich argumentację. Kontakty ze strajkującymi, nie siedziałem wtedy za biurkiem, byłem wśród załóg, prowadziłem rozmowy, uważam je za niezwykle cenne dla siebie".

Właściwie w tej groteskowej sprawie, a dla Wojnowskiego tragicznej, nabiera sensu inne zdanie Maria Puzo: *„Jestem człowiekiem, który się szanuje, i nie mogę pozwolić, żeby ktoś inny narzucał mi swoją wolę, i dlatego stało się to, co musiało się stać".*

Dlatego zapewne głęboko dotknęło go upokorzenie, którego doznał w Komitecie Wojewódzkim. Stało się tuż po jego rezygnacji, że zaszedł do komitetowej stołówki na obiad. Siadł przy stole zarezerwowanym dla najwyższych, przy stole, który kelnerzy traktowali ze specjalnym szacunkiem i zrozumieniem. Kiedy więc owego dnia siadł za tym stołem, przez wiele długich minut, kelnerzy go nie obsłużyli, choć wiedzieli, że czeka. W końcu poprosił, by podali...

PAWEŁ LEWANDOWSKI
(„Sztandar Młodych")

TYDZIEŃ W POLITYCE

R. Reagan zaczął swą prezydenturę pod znakiem twardego kursu — w polityce wewnętrznej i zagranicznej. W pierwszym swym telewizyjnym przemówieniu, które poświęcone było problematyce gospodarczej, oświadczył ,że USA znajdują się „w stanie najgorszego bałaganu ekonomicznego od czasu wielkiej depresji" i że nadciąga widmo „gospodarczej katastrofy olbrzymich rozmiarów". Uznając, że Stany Zjednoczone doszły do „zwrotnego punktu", zapowiedział podjęcie wielu działań korekcyjnych. W przeszłości mówił — zwalczaliśmy raz bezrobocie, raz inflację, ani tu ani tam nie osiągając zadowalających wyników. Teraz nadszedł czas, aby spróbować czegoś innego. Nie udzielił jednak odpowiedzi na podstawowe w związku z tym pytanie: **kto poniesie koszty tych działań.** Zapowiedź eliminacji kosztownych wydatków administracyjnych nie jest bowiem wskazaniem na główne źródła pokrycia.

Pozostawmy jednak sprawy wewnętrzne i odnotujmy z innego wystąpienia prezydenta szereg twardych sformułowań pod adresem ZSRR. Mówił on o „przewrotności" radzieckiej polityki zagranicznej ,chęci utworzenia „ogólnoświatowego socjalistycznego lub komunistycznego państwa" i jednostronnym charakterze odprężenia, z którego Związek Radziecki „korzystał dla osiągnięcia własnych celów". Tego rodzaju bezsensowne sformułowania spotkały się z ostrą repliką prasy radzieckiej, ale również... zachodniej. Obserwatorzy zostali bowiem **zaskoczeni tonem wypowiedzi prezydenta i brakiem niezbędnej w polityce powściągliwości.** Zastanawiając się nad przyczynami — piszą o chęci Reagana okazania zdecydowania, które jednak nic nie jest warte, bo nie wynika z realiów i potrzeb międzynarodowej praktyki.

Reaganowi zawtórował minister obrony — C. Weinberger, który dla odmiany wspomniał **o możliwości powrotu do koncepcji zbrojeń neutronowych.** Ta informacja obiegła świat lotem błyskawicy i wywołała szerokie negatywne echo. W stolicach europejskich sojuszników USA jest dezaprobata. Nawet pani Thatcher, o której się mówi — pewnie z racji przekonań — że będzie najbliższą sojuszniczką Reagana, zareagowała na wiadomość chłodno, bojąc się opinii brytyjskich wyborców. Lewica labourzystowska przypomniała natomiast swe określenie **broni neutronowej jako „kapitalistycznej"**, która niszczy życie, ale pozostawia prywatną własność.

Nowa administracja rozpoczęła więc swą działalność od różnych oświadczeń, które mają być zapowiedzią twardego kursu. Komentatorzy **więcej jednak w tym dopatrują się taktyki niż wypracowanej już linii.** Podejrzewają na przykład, że Waszyngton w ten sposób chciałby zmusić ZSRR do ponownych pertraktacji nad układem SALT II, który Reagan (pisaliśmy już o tym) uważa za niewystarczający.

Tymczasem w Madrycie ,gdzie toczą się rozmowy przedstawicieli 35 państw — uczestników KBWE i Genewie, gdzie właśnie rozpoczął się 37 doroczny kongres konferencji praw człowieka — oczekuje się na stanowisko USA. W pierwszym przypadku ujawni się, jaki jest rzeczywisty stosunek nowej administracji do odprężenia, w drugim — jaką rangę nowy rząd przywiązuje do problemów praw człowieka.

Poświęćmy jeszcze nieco uwagi innemu tematowi — bezpieczeństwu w rejonie Zatoki Perskiej.

W stolicy Arabii Saudyjskiej — Rijadzie odbyła się konferencja ministrów spraw zagranicznych 6 państw arabskich z rejonu Zatoki Perskiej, na której omawiano sprawy bezpieczeństwa i stabilizacji na tym obszarze. Uczestnicy konferencji przedyskutowali **plany współpracy międzypaństwowej w dziedzinie militarnej, politycznej i gospodarczej** oraz ustalili na początek marca kolejne spotkanie w Omanie.

Z informacji agencji wynika, **że tym razem dokonano wspólnych uzgodnień.** Piszemy: tym razem, ponieważ w 1979 roku podjęto już próbę skoordynowania działań państw rejonu Zatoki Perskiej, ale wówczas nie osiągnięto porozumienia. Oman domagał się bowiem aby państwa zachodnie, korzystające z drogi biegnącej przez Zatokę, dopomogły w ochronie tego szlaku wodnego. Projekt odrzucono uzasadniając otwarciem możliwości do ingerencji wojskowej. Teraz, jak można się zorientować, zainteresowane państwa **pomyślały o skoordynowaniu własnych działań.** Jeden z projektów zakłada nawet utworzenie wspólnych dla wszystkich pastw znad Zatoki Perskiej sił wojskowych.

Wiadomość ta, ze zrozumiałych względów, wzbudziła duże zainteresowanie w stolicach krajów zachodnich.

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).
Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

WSZYSCY LICZĄ NA NIK

Dalszy ciąg ze str. 1

cznie jest bardzo duże, bo i namnożyło się nam przykładów niegospodarności i niefrasobliwości, marnotrawstwa i sobiepaństwa, nieudolności i niedowładu organizacyjnego w posługiwaniu się naszym wspólnym mieniem.

— Przeciętny obywatel ma chyba obecnie znacznie więcej zaufania do NIK-u, niż do bardziej przecież od niego rozwiniętych i wyspecjalizowanych organów ścigania, które mają spory udział w tym, że w minionym okresie prawo nie dla wszystkich było jednakowe. Zaufanie do NIK-u mają nie tylko obywatele, mają również władze centralne. Wyrazem tego jest chociażby fakt, że właśnie NIK-owi powierzona została nader trudna misja przebadania domów jednorodzinnych i letniskowych, jakich dziesiątki tysięcy wybudowano w latach siedemdziesiątych. Na jakim etapie realizacji tego zadania znalazła się łódzka delegatura NIK-u?

— Wbrew sugestii zawartej w tym pytaniu, NIK nie powinien wyręczać i nie wyręcza organów ścigania w ich walce z nadużyciami czy przestępstwami, do których zwalczania są one powołane. Najwyższa Izba Kontroli zobowiązana jest tylko do badania legalności, gospodarności, celowości i rzetelności działalności gospodarczej, finansowej i organizacyjno-administracyjnej kontrolowanych jednostek, tj. zjednoczeń, przedsiębiorstw, zakładów, urzędów i instytucji państwowych. NIK może również przeprowadzać kontrolę jednostek gospodarki nieuspołecznionej w zakresie dostaw produkcji i usług na rzecz gospodarki uspołecznionej. Generalnie jednak NIK nie kontroluje działań i zachowań osób prywatnych, które to działania są domeną milicji i prokuratury. Im też NIK pomaga w ściganiu przestępstw i nadżyć, a także sam korzysta z ich pomocy, gdy zachodzi taka potrzeba. Np. wówczas, kiedy niezbędne jest wykonanie działań operacyjnych, jakie zrealizować może tylko Milicja Obywatelska.

— Wróćmy jednak do pytania o kontrolę domków....

— Uchwała VI Plenum KC PZPR zobowiązała NIK i inne organa kontroli do sprawdzenia budzących wątpliwości prywatnych inwestycji budowlanych, zrealizowanych w ostatnim dziesięcioleciu poza rolnictwem. Kontrole te prowadzimy pod kątem zgodności inwestowania z normami państwowymi i zasadami współżycia społecznego, legalności pochodzenia środków finansowych i materiałowych, rzetelności rozliczenia świadczeń jednostek gospodarki uspołecznionej oraz wykonania zobowiązań podatkowych i innych wobec państwa.

— Co to oznacza w praktyce?

— Oznacza to mrówczą bez mała pracę, którą mają do wykonania nasi inspektorzy, współdziałający z pracownikami Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej, wydziałów finansowych urzędów wojewódzkich, Komend wojewódzkich MO, a także ze służbami rewizyjnymi niektórych zakładów pracy oraz przedstawicielami organów kontroli społecznej. Dlaczego mówię o mrówczej pracy? Bo sprawdzenie każdej inwestycji prywatnej jest równoznaczne z wieloma godzinami, a czasem i dniami, żmudnych i skrupulatnych czynności kontrolnych. O rozmiarach tego zadania niech zaświadczą liczby. W wojewódzkie sieradzkim — 1200 domków letniskowych, w piotrowskim — około 1000, w skierniewickim — 750, zaś w miejskim łódzkim — aż 2500 domów letniskowych wybudowanych legalnie i 1100 wzniesionych... nielegalnie. Nie jest to więc łatwe zadanie. Zanim się z nimi do końca uporamy, upłynie jeszcze wiele czasu. Kontrole — prowadzimy kompleksowo — rozpoczynamy zwykle od sprawdzenia tego ,co leży w gestii urzędów gmin i miast, a więc od prawidłowości podziału gruntów na działki, a także formalności związanych z zezwoleniami na budowę. Badamy również całość infrastruktury komunalnej terenów działkowych: drogi dojazdowe, sieć elektryczna, wodociągi i kanalizacja, linie telefoniczne. Już na tym wstępnym etapie rodzą się rozliczne trudności, spowodowane niedoskonałością naszego prawa. Śmiesznie małe sankcje możemy — na przykład — stosować wobec właścicieli nielegalnych budynków. Do tego dochodzi nieżyciowa procedura egzekwowanych grzywien. Spodziewam się, że w tej i podobnych sprawach Najwyższa Izba wystąpi do Sejmu PRL, wnioskując istotne zmiany w obecnie obowiązujących przepisach prawnych, które pozostały daleko w tyle za naszą rzeczywistością.

— Panie dyrektorze, jaka łączna suma „zadłużeń" prywatnych inwestorów wobec państwa i społeczeństwa została już przez Was wykryta? Jaka część została odzyskana?

— Nie dysponujemy jeszcze zbiorczymi danymi, bo przecież realizacja tego zadania jest ciągle w toku. Oczywiście, gdy tylko zakończymy pracę, poinformujemy opinię publiczną. Dziś mogę tylko służyć przykładami. Gmina Bolimów w województwie skierniewickim — którą „rozsławiliście" w poprzednim numerze „Odgłosów" — to 2 mln zadłużenia wobec państwa ze strony właścicieli działek, którym nie naliczono opłat z tytułu przekwalifikowania gruntów rolnych i leśnych na letniskowe. Wydaliśmy natychmiast odpowiednie decyzje, w rezultacie których już kilkaset tysięcy złotych wpłynęło do skarbu państwa. W wojewódzkie sieradzkim skarb państwa odzyska 200 tys. zł z tytułu nie uiszczonych opłat za zezwolenia na budowę, przekwalifikowania gruntów, a nawet — za dzierżawę. Z samych tylko Grotnik — w gminie Zgierz — 100 tys. zł. Łącznie możemy już mówić o kilku milionach.

— Pozostając w kręgu tych samych spraw, proszę o kilka szczególnie drastycznych przykładów, jakie wydobyli na światło dzienne inspektorzy NIK-u.

— Drastycznych?... Cóż, trafiliśmy na takie przypadki — na szczęście, raczej nieliczne — w których pracownicy urzędów gminnych sami zakupili, odpowiednio wcześniej, działki z parcelowanych gruntów, aby je później sprzedać z sowitym zyskiem. Przykład następny: w gminie Zgierz utrzymuje się bardzo ciężka sytuacja mieszkaniowa, w związku więc z podziałem gruntów pod budownictwo jednorodzinne prawie 2000 osób złożyło podania na budowę domu. 1400 spośród nich załatwiono odmownie, podczas gdy działek było tyle, że starczyłoby dla wszystkich chętnych. Poprzydzielano je jednak ludziom z zewnątrz, którzy często nie mieli żadnych podstaw do ubiegania się o nie. Zawłaszcza w zestawieniu z tymi ludźmi, którzy chcieli sobie poprawić autentycznie złe warunki mieszkaniowe.

— Spekulacja? Kumoterstwo? Łapownictwo?

— W wielu przypadkach — na pewno!

— Przykład to więc o wyraźnym posmaku kryminalnym. Domyślam się, że inspektorzy NIK-u, prowadzący te kontrole, napędzili już nie jednego „klienta" organom ścigania?

— W tym miejscu naszej rozmowy trzeba wyraźnie powiedzieć, że posiadanie domku czy daczy nie jest naganne. W wielu wypadkach potwierdzamy, że człowiek nabył działkę i zabudował ją w uczciwy sposób, nie korzystając z kiesy państwowej. Jednak własność społeczna — to na pewno nasza własność, ale to nie oznacza, że moja i pana indywidualnie.

— Wróćmy jednak do przykładów...

— W Łódzkim Kombinacie Budownictwa „Południe" powołane zostało Stowarzyszenie Użytkowników Terenów Letniskowych „Dąbrowa". Inicjatywa sama w sobie użyteczna, ale w tym przypadku do własnej daczy pretendowało 47 członków, wśród nich zaś — 9 dyrektorów i zastępców, 21 kierowników i zastępców oraz 1 (słownie: jeden) robotnik. Murarz-tynkarz zresztą.

— No, jasne, ktoś im te dacze musiał budować. Swoją drogą wiele państwowych przedsiębiorstw i instytucji wykazywało — jak się dziś dowiadujemy — niezwykłą aktywność w tej dziedzinie.

— A wśród nich — Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej, których zadaniem jest przecież wykonywanie remontów lokali mieszkalnych i innych usług na rzecz lokatorów. Cóż się jednak okazuje? Tylko w latach 1976—1980 łódzkie PGM-y wykonały 266 rozmaitych zleceń na budowach różnego rodzaju prywatnych domów za prawie 13,5 mln zł.

— Tymczasem przeciętnemu Kowalskiemu miesiącami całymi leje się na głowę, bo brak było mocy przerobowych na załatanie dziury w dachu...

— Na dochodziło tu do istnych absurdów. PGM — Górna wydelegował — na przykład — swoich pracowników aż do Radzynia w województwie konińskim, aby na budowie domku jednorodzinnego wykonali roboty instalacyjne o wartości... 1941 zł. Koszt delegacji znacznie przekroczył wartość robocizny. A nie jest to przykład odosobniony.

— Nie wiadomo: śmiać się czy płakać? Zmieńmy więc temat. Ludzie piszą listy, skargi, zażalenia, donosy, często anonimowe. Czy jest tego dużo? Jaki procent zawartych w nich danych znajduje pokrycie w rzeczywistości?

— W 1980 roku wpłynęło do nas 200 skarg i wniosków. Nadto osobiście zgłosiło się 112 osób. Dwukrotnie więcej, niż w roku poprzednim. Znamienne: dwie trzecie listów i zgłoszeń przypada na ostatni kwartał. W listopadzie i grudniu wpłynęło 198 skarg z tego 146 — anonimowych. Nie lubimy anonimów, bo kto je lubi. Musimy je jednak badać, bo co najmniej 50 proc. z nich znajduje potwierdzenie. Do dać trzeba, że sygnały — listowne czy osobiste — ze strony społeczeństwa dotyczą głównie nadużyć gospodarczych i finansowych, a także marnotrawienia mienia państwowego i społecznego.

— Czy NSZZ „Solidarność" podjął z Wami jakąś współpracę, czy też nadal na własną rękę odkrywa i popularyzuje przeróżne afery?

— Tak, taka współpraca się zawiązała i coraz lepiej rozwija, chociaż nie ma charakteru formalnego. Nie o to jednak przecież chodzi. Moim zdaniem ta współpraca jest potrzebna i pożyteczna. Również i z tego powodu, że pozwala uniknąć całkiem zbędnych sensacji. Sądzę, że dobrze by było, gdyby przedstawiciele „Solidarności" zechcieli się szeroko włączyć do społecznej kontroli interesujących obie strony tematów, przez co tak sama kontrola, jak i jej wyniki, zyskałyby w ocenie samych związkowców walor absolutnej wiarygodności i natychmiastowej sprawdzalności. Obecnie bowiem współpraca sprowadza się zazwyczaj do tego, że NIK otrzymuje od „Solidarności" — zwłaszcza ogniw związkowych szczebla zakładowego — określone sygnały, czy konkretne materiały, które stanowią nierzadko powód do bezzwłocznej kontroli...

— Co to za materiały? Czy są one wymierzone przeciwko konkretnym osobom?

— Również. Zdarzyły nam się przypadki, że sygnały, które do nas napłynęły nosiły wyraźne znamiona ataku na tę czy inną osobę. Były one w wielu wypadkach uzasadnione. Generalnie jednak materiały dotyczą rzeczywiście spraw, a nie osób. Podyktowane zaś są troską o gospodarność i sprawiedliwość, o nasze wspólne dobro. Przechodząc do konkretów, wspomnę, że otrzymaliśmy m. in. interesujące materiały na temat „Prexeru", PGM — Górna, „Bistony", OPRF, Fabryki Cukrów „Optima", Spółdzielni Mieszkaniowej w Zduńskiej Woli...

— Czy zawartość reportaży i artykułów prasowych stanowi jakiś materiał dla NIK-u?

— Oczywiście. Na przykład, artykuł w „Perspektywach" zdopingował nas do szybszego wkroczenia na teren gminy Żabia Wola w wojewódzkie sieradzkim. Z kolei artykuły w łódzkiej prasie ściągnęły na „Bomis" naszą kontrolę. Artykuły działu rolnego „Głosu Robotniczego" spowodowały pozaplanowe kontrole paru SKR-ów. Rzecz jasna, że i wasze „Odgłosy" przysporzyły nam już nie raz sporo dodatkowej roboty...

— Ogrom spraw ,ogrom pracy. Ile osób pracuje w łódzkiej delegaturze? Jakie możliwości mają inspektorzy NIK-u, aby sprawnie i skutecznie wypełniać swoją powinność?

— Na spotkaniu bodaj z żyrardowską „Solidarnością" padło to pytanie. „No, jak myślicie, ile osób?" — zapytał nasz pracownik. „Dwieście. Nie, trzysta!" — odpowiedział ktoś z sali. I nie chcieli uwierzyć, że pracuje u nas tylko 35 osób. Jest to kadra wyjątkowo starannie dobierana. Legitymuje się dużymi kwalifikacjami i sporym doświadczeniem, a także spełnia odpowiednie warunki moralno-etyczne. Nierzadko są to ludzie, którzy piastowali przedtem odpowiedzialne funkcje kierownicze. Traktują swoją pracę jako swoistą, niezwykle odpowiedzialną służbę społeczną. I muszą pewnie tę pracę lubić, bo nie jest lekka i łatwa. Wystarczy powiedzieć, że każdy z inspektorów cztery piąte czasu pracy spędza w terenie. Wsie, miasteczka. Często trudno do nich dojechać, bo PKS-y przeładowane, nierzadko trzeba brnąć parę kilometrów w deszcz, śnieg, błoto. Bywa, że nie ma co zjeść, gdzie się przespać. Anegdotycznego już charakteru nabrała przygoda jednego z naszych kolegów, którego podczas kontroli GS-u umieszczono w... łazience, było to bowiem jedyne pomieszczenie, gdzie mógł względnie spokojnie pracować. A jest przecież przepis, który mówi, że kontrolowana jednostka musi zapewnić inspektorom pokój do pracy itd.

— Praca to jednak samodzielna i interesująca...

— Niewątpliwie. Dodatkowym jej walorem jest duża, często natychmiastowa efektywność. Kontrolujący wskazuje niedomagania, a kierownictwo jednostki musi je bezzwłocznie usunąć. O ile występuje tu jakaś opieszałość, zaś sprawa nie cierpi zwłoki, stanowiąc zagrożenie dla życia, zdrowia czy mienia — inspektor może wydać zarządzenie doraźne, od którego przysługuje wprawdzie odwołanie do prezesa NIK-u, nie zawieszające jednak wykonywania decyzji. Na ogół zresztą wszyscy podporządkowują się zaleceniom NIK.

— Jakie najciekawsze sprawy prowadził NIK w ostatnim czasie? Jakie tematy podejmie w najbliższej przyszłości?

— W minionym roku skontrolowaliśmy 252 jednostki w 68 różnych tematach, z których wymienię chociaż kilka: wykorzystanie maszyn budowlanych, rozwój produkcji i zaopatrzenie rynku w poszukiwane artykuły konsumocyjne, przygotowanie energetyki zawodowej i przemysłowej do szczytu jesienno-zimowego, funkcjonowanie podstawowej opieki zdrowotnej, produkcja i gospodarka papierem, opieka zdrowotna i psycho-pedagogiczna nad dziećmi i młodzieżą szkolną, remonty i modernizacja obiektów służby zdrowia, gospodarka paszami w hodowli zwierząt. W tym zaś tylko kwartale badać będziemy zaopatrzenie rynku w ryby morskie z uwzględnieniem ich przetwórstwa, wykorzystanie sadowców lokalnych, wtórnych i odpadów w drobnej wytwórczości i rzemiośle, ochronę zdrowia i bezpieczeństwo pracy w przemyśle, budownictwie, transporcie i rolnictwie, gospodarkę wodną w rolnictwie, a także realizację ustaw o terenach budowlanych.

— Ten temat wiąże się chyba bezpośrednio z akcją „wille i dacze"?

— Tak, mamy już wiele materiału, który posłuży do kompleksowego opracowania tematu.

— Powróciliśmy do sprawy, która żywo wciąż obchodzi całe chyba społeczeństwo. A propos, czy takie — na przykład — osiawione miejscowości, jak Żabiczki czy Sokolniki, były już sprawdzane przez Waszych inspektorów?

— Tak, a co pana szczególnie interesuje?

— Powiedzmy raczej, co interesuje naszych Czytelników. Chyba sprawa, którą miasto żyło całymi miesiącami jeszcze na długo przed Sierpniem. Czy modrzewiowy domek w Żabiczkach byłego prezydenta Łodzi Jerzego Lorensa był już sprawdzany?

— Skrupulatnie — tego przecież domagała się opinia publiczna.

— Mogę więc prosić o szczegóły?

— Proszę bardzo. Kontrola potwierdziła, że w Konstantynowie-Żabiczkach, przy ul. Konwaliowej 20/22, na dwóch sąsiednich działkach własnościowych o łącznej powierzchni 3600 m kw., należących do Heleny i Anny Lorens został pobudowany na podstawie zezwolenia z 1975 roku dom mieszkalno-letniskowy z modrzewia o powierzchni zabudowy 186 m kw., powierzchni użytkowej 110 m kw. i kubaturze 641 m sześc. Ustalono, że inwestorami były Helena Anna Lorens, a budowa prowadzona była systemem gospodarczym, przy udziale różnych wykonawców, w tym również doraźnie przez jednostki gospodarki uspołecznionej. Kontrola ustaliła, iż drewno budowlane — modrzew — nabyła na podstawie podania akceptowanego przez dyrektora Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Łodzi, Helena Lorens, uzyskując zlecenie na zakup 40—50 m. sześc. drewna w Zespole Składnic w Skarżysku Kamiennej. Drewno fakturowane po cenach detalicznych było dostarczone do tartaku w Łodzi na nazwisko Jerzego Lorensa. Nie był to przypadek odosobniony, gdyż w tym okresie składnice dysponowały dużymi ilościami tarcicy, zaś cena modrzewia w niewielkim stopniu odbiegała od cen detalicznych innych gatunków drewna.

— A co z tymi przedsiębiorstwami państwowymi?

— Część robót budowlanych i stolarskich na zlecenie Heleny Lorens wykonały, nie uprawnione do ich podejmowania dla osób fizycznych , Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa „Południe" i Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłu Lekkiego „Północ", zaś niektóre roboty elektryczne i ułożenie glazury — PGM — Polesie.

— I co tutaj wykazała kontrola?

— Nieprawidłowości w fakturowaniu niektórych prac.

— Jest to dość ogólne stwierdzenie. Na jaką sumę opiewają prezydenckie „ulgi"?

— Rozpatrujemy sprawy, które miały miejsce przed czterema czy pięcioma laty, trudno więc dziś udowodnić, kto i dlaczego wystawiał niższe faktury (niektórzy ludzie — na przykład — już nie pracują). Trudno też powiedzieć, że obywatel Lorens wymagał zaniżania rachunków. A jakie różnice? Np. w ŁPBP „Północ" faktura opiewała na 10 071 zł, a zgodnie z cennikiem wynosić winna 26 857 zł. Różnica wynikła z tego, że część materiałów była zleceniodawcy, ilości wykonanych robót były rozliczane w innych jednostkach, niż to przewidują cenniki itd. W PGM-Polesie faktura została zaniżona o 7 654 zł, dlatego że zdaniem zleceniodawcy usługa była wykonana wadliwie. Brak natomiast w dokumentach adnotacji inspektora nadzoru, co było wadliwe i dlaczego zaniżono faktury. Różnice niektórych badanych przez nas faktur obciążają nie tyle zleceniodawcę, ile przede wszystkim wystawiających. Wnioski w tej sprawie skierowaliśmy do kontrolowanych przedsiębiorstw.

— Oczywiście trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, czyja jest tu większa wina: byłego prezydenta czy usłużnych dyrektorów? Cóż, taki to był system, którego twórcy i uczestnicy nie widzieli niczego nagannego w tego rodzaju praktykach. Czy na tym kończy się sprawa modrzewiowego domku, chyba nie?

— Ostatnio Ministerstwo Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych zarządziło komisyjną weryfikację rachunków za usługi wykonane dla osób fizycznych, badanie więc prawidłowości zafakturowanych robót będzie kontynuowane przez komisje utworzone w przedsiębiorstwach uspołecznionych.

— Należy sądzić, że kontrole te obejmą nie tylko koszty robocizny, ale i ceny materiałów, które przecież też mogły być poddane odpowiednim „ulgom". Dobrze, a droga? Telefon? Wodociąg?

— Istniejąca w Żabiczkach droga asfaltowa o długości 3 km prowadząca od szosy Konstantynów — Lutomiersk do PGR Rszew stanowi trasę lokalną przelotową. Stwierdzono, że drogi dojazdowe do poszczególnych działek w Żabiczkach stanowią nieutwardzone dukty leśne. Wodociąg... W 1980 roku Społeczny Komitet Budowy Wodociągu w Żabiczkach ulokował w Wojewódzkim Zakładzie Usług Wodnych w Konstantynowie zlecenie na wykonanie robót wodociągowych, których wartość do końca 1980 roku wyniosła około 2 mln zł, przy łącznej wartości kosztorysowej — 3 mln 636 tys. zł. Społeczny komitet zgromadził na ten cel ze składek członków około półtora miliona złotych, w pozostałej części partycypuje głównie Urząd Miasta Łodzi, który przeznaczył na ten cel dotację w wysokości ponad 3 mln zł z Funduszu Gospodarki Wodnej. Do działki Heleny i Anny Lorens, jak i w całej ul. Konwaliowej, do ukończenia kontroli wodociąg nie był jeszcze doprowadzony. Sprawa telefonu... W toku kontroli ustalono, że wiosną 1975 roku na polecenie DOPiT w Łodzi wykonana została linia telefoniczna do miejscowości Żabieczki, a w lipcu 1975 roku zainstalowano w restauracji „Chata Wuja Toma" telefon główny do użytku publicznego. Jednocześnie zainstalowano aparat dodatkowy przy ul. Konwaliowej 20/22 w mieszkaniu Jerzego Lorensa. Koszty dokumentacji oraz budowy linii telefonicznej poniosła DOPiT, zaś abonent główny opłacił 4 470 zł. W związku z tym, że w 1978 roku dokonano dalszej rozbudowy linii telefonicznej w Żabieczkach o trzy kolejne aparaty telefoniczne zainstalowane również w domach letniskowych, że koszty tej rozbudowy obciążyły remont linii telefonicznej na trasie Konstantynów — Mirosławice, Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi został przez nas zobowiązany do dokonania weryfikacji rozliczeń z abonentami w tej miejscowości i odpowiedniej korekty opłat. Min. zobowiązuje to ob. Lorensa do dopłacenia 3000 zł.

— Co jeszcze?

— Badano również źródła pochodzenia środków finansowych na pokrycie przez rodzinę Lorensów kosztu budowy domu letniskowego. Ustalono, że przychody z tytułu wynagrodzeń za prace Heleny i Jerzego Lorensów — pomniejszone o obowiązujące w tym czasie normy kosztów utrzymania — były wyższe od wydatków poniesionych na budowę tego domu.

— Skoro poruszamy już konkretne sprawy, a raczej konkretne osoby, proszę o wyjaśnienie kolejnych wątpliwości, jakie narosły wokół byłego I sekretarza KW PZPR, Bolesława Koperskiego. Czy miał on również działkę w Żabieczkach? Czy prawdą jest, że państwowe przedsiębiorstwo przeprowadziło na własny koszt remont jego prywatnego mieszkania?

— Tak, Bolesław Koperski ma działkę w Żabiczkach, ale nie zabudowaną. Stoi na niej tylko drewniana pakamera. Jeśli zaś chodzi o mieszkanie przy ul. 12 Stycznia, to muszę stwierdzić, że sprawę badała Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej. Postępowanie wyjaśniające nie potwierdziło, zarzutów, jakoby remont tego mieszkania przeprowadzono na koszt państwa.

— Czy obecny prezydent Łodzi Józef Niewiadomski ma willę w Sokolnikach? Czy była ona już sprawdzana?

— Jest to nie willa, lecz domek dwurodzinny, z którego część — o powierzchni 70 m kw. — użytkuje on ze swoją rodziną. Wraz ze współwłaścicielami wybudował ten domek w połowie lat siedemdziesiątych, a więc w czasie, kiedy nie sprawował jeszcze funkcji prezydenta. Na marginesie dodam, że prezydent ma spore umiejętności manualne i zapał do majsterkowania ,dzięki czemu sporo prac budowlanych i wykończeniowych wykonał własnoręcznie. Wiele osób zna zresztą doskonale to hobby prezydenta, nie popełniam więc wielkiej niedyskrecji.

— Przekonaliśmy się już, że NIK potrafi niezwykle skrupulatnie rozliczyć tych, którzy odeszli. Czy nie jest przypadkiem bardziej wyrozumiały wobec tych, którzy nadal zajmują eksponowane stanowiska?

— Na jednym z plenarnych posiedzeń KW PZPR stwierdziłem, że łódzki NIK będzie tak organizował pracę, aby — jak pisał Lenin — „żaden autorytet, bez względu na osobę nie mógł przeszkodzić (...) w skontrolowaniu dokumentów, będziemy chcieli dopiąć tego, by zapoznano się dokładnie ze wszystkimi okolicznościami każdej sprawy, jak najskrupulatniej przestrzegano ustalonego trybu prowadzenia spraw". I ten cytat z artykułu pt. „Jak powinniśmy organizować inspekcję robotniczo-chłopską" niech wystarczy za odpowiedź na to pytanie.

— Kto ma prawo mianować lub zdjąć dyrektora delegatury NIK? Czy stanowisko to należy do lokalnej nomenklatury?

— Mianuje i zwalnia dyrektora delegatury sam prezes Najwyższej Izby Kontroli, po zasięgnięciu opinii Kolegium NIK.

— Wiemy, że w minionym okresie wywierane były na NIK przeróżne naciski, zmierzające do wyłączenia spod jego zainteresowania niektórych spraw czy osób. A teraz?

— Pytanie to nie jest najwłaściwiej sformułowane. Otóż w minionym okresie nie to było nieszczęściem, że ktoś NIK w pracy przeszkadzał, utrudniał bądź ją uniemożliwiał. NIK wówczas pracował z pozoru normalnie, tyle, że wyniki jego prac, jego wnioski i ustalenia, analizy zjawisk i problemów często nie były w ogóle brane pod uwagę. „Nie miały dostatecznej siły przebicia" — jak na posiedzeniu Sejmu PRL wyraził się prezes Moczar. A teraz? Nie tylko, że odzyskaliśmy tę siłę przebicia, ale i jesteśmy inspirowani, wręcz zachęcani czy nawet ponaglani przez władze centralne i lokalne. Sejm i rady narodowe, instancje partyjne, a także — przez społeczeństwo.

— Właśnie, wszyscy liczą na NIK... Czy nie obawia się Pan skorumpowania swoich pracowników? Ostatecznie ludzie, którzy podlegają Waszej kontroli, mają często niezwykle dużo do stracenia, gotowi są więc sięgać po najskrajniejsze metody, aby tylko uchylić się od odpowiedzialności?

— Nie, nie obawiam się. Najstarsi nawet pracownicy delegatury nie pamiętają ani jednego przypadku wykluczenia z tej odpowiedzialnej służby za takie przewinienie. Przypomnę raz jeszcze, że kadrę mamy doborową, zaś system organizacji i nadzoru wyklucza możliwość zaistnienia takiego zagrożenia.

— Na koniec jeszcze jedno pytanie. Prezes NIK, Mieczysław Moczar jest postacią niezwykle kontrowersyjną. Od dawna jest postrachem jednych, a nadzieją — drugich. Czy rzeczywiście kieruje on na co dzień pracą NIK? W czym się to przejawia? Jak układają się stosunki dyrekcji łódzkiej delegatury z warszawską centralą? Zwłaszcza zaś z przewodniczącym NIK?

— Nie jest to jedno lecz kilka pytań, wcale nie najłatwiejszych. Ocena osobowości postaci historycznej, jaką jest bez wątpienia Mieczysław Moczar, jest niezwykle trudna i złożona. Ja zaś poznałem już na tyle prezesa Najwyższej Izby Kontroli, że mogę śmiało powiedzieć, iż jest on niezwykle bezpośredni i otwarty w stosunkach z ludźmi stanowczy i rzeczowy, a do tego ujmująco skromny. Wiem nadto doskonale, że prezes bardzo nie lubi tego, żeby dobrze o nim mówić. Poprzestanę więc na tych kilku uwagach. Na podstawie kontaktów osobistych, jak i przekazywanych nam przez centralę poleceń, stwierdzić muszę, że towarzysz Moczar niezwykle sprawnie kieruje osobiście i na co dzień naszą pracą. Jak się układają stosunki?... Jesteśmy delegaturą, działającą w bardzo ważnym okręgu, obejmującym cztery województwa. Centrala do naszej pracy przywiązuje należytą wagę i rzetelnie ją ocenia. Każda nasza inicjatywa zyskuje poparcie centrali, a także odczuwalna pomoc w jej realizacji. Inaczej mówiąc, nikt nie wyhamowuje naszych własnych inicjatyw. Wręcz przeciwnie — jesteśmy nieustannie zachęcani do ich podejmowania. To zaś ma nader pozytywny wpływ na atmosferę w naszej delegaturze, jak i na jej pozycję i znaczenie w terenie, na którym działamy.

WŁODZIMIERZ TWARROWSKI: „Głównym bowiem zadaniem Najwyższej Izby Kontroli jest pomoc w rozwiązywaniu problemów i usuwaniu nieprawidłowości. Cała więc jej działalność ma charakter na wskroś konstruktywny".

Foto: R. Łucyszyn

Rozmawiał:
JACEK INDELAK

OD REDAKCJI: Rozmowa z dyr. W. Twardowskim wychodzi naprzeciw zainteresowaniom społeczeństwa. W publikacjach, jakie już miały miejsce na naszych łamach, jak również w tych, które w przyszłości podejmiemy, towarzyszy nam podstawowa intencja: przeciwstawienie się zarówno wszelkim nieuczciwościom, jak również oszczerstwom i fałszywym pomówieniom.

Dalszy ciąg ze str. 1

SYTUACJA GOSPODARCZA I PRAWDOPODOBNY JEJ PRZEBIEG

W 1980 roku , doszły okoliczności nowe, które kryzys pogłębiły. Zapowiadał się jako kolejny rok niezbyt poradnego wygrzebywania się z kryzysu. Weszliśmy weń z ekipą, która ten kryzys spowodowała oraz tą samą polityczną i ekonomiczną koncepcją pokonywania kryzysu. Koncepcja polityczna polegała na tym, aby wyjść z niego utrzymując społeczeństwo w całkowitej bierności i uśpieniu politycznym, między innymi dzięki cenzurze, fałszywej propagandzie i ukrywaniu prawdy. Koncepcja ekonomiczna polegała na skoncentrowaniu działania przede wszystkim na tym, by zahamować wzrastanie długów i odzyskać stabilną sytuację na międzynarodowym rynku kredytowym.

Ta polityka realizowana była przede wszystkim przy pomocy narzędzi administracyjnych, przy pomocy nakazów i zakazów, które się bardzo rozpieniły, powodując chaos w gospodarce. Polegała ona również na administracyjnym ograniczeniu zaopatrzenia z importu, na śrubowaniu eksportu często bez oglądania się na jego opłacalność, na ograniczeniu — choć niezbyt konsekwentnym i stanowczym, — inwestycji, a także — na dążeniu do podtrzymywania poziomu stopy życiowej, co się zresztą nie udawało. Równocześnie prowadzona była w zakamuflowany lub na pół zakamuflowany sposób polityka inflacyjna, polegająca na stymulowaniu ukrytych podwyżek cen, na wprowadzaniu sklepów komercyjnych.

Jakie były skutki tej polityki? Praktycznie jedynym jej sukcesem było zmniejszenie deficytu handlowego w obrotach z krajami kapitalistycznymi z 3,5 mld dolarów w 1976 roku, do około 1,3 mld dolarów na koniec roku 1979, z tym, że w tym momencie nasze zadłużenie wynosiło około 20 mld.

Koszty tej polityki były następujące:

— drastyczne pogorszenie zaopatrzenia gospodarczego w materiały i surowce, i co za tym idzie, spadek wykorzystania zdolności produkcyjnych;

— ogromny i rozgrzebany front inwestycyjny, na który składało się kilkadziesiąt tysięcy realizowanych tytułów inwestycyjnych, w których zamrożono w końcu 1979 roku 680 mld zł, tzn. 1/3 poziomu dochodu narodowego, wytworzonego w 1979 r. Żeby skończyć te wszystkie realizowane obiekty, trzeba by w tamtym momencie wydać 1200 mld zł tzn. 2/3 dochodu narodowego wytworzonego w 1979 r. Patrząc realistycznie na możliwości zakończenia tego frontu inwestycyjnego i budowę rozpoczętych obiektów, trzeba by żadnych nowych inwestycji nie rozpoczynać przez jakieś 2,5—3 lata;

— wystąpiły dwie potężne bariery rzeczowe — energetyczna i transportowa. Występował także szereg pomniejszych dysproporcji w aparacie produkcyjnym które ograniczały wykorzystanie zdolności produkcyjnych, niezależnie już od ograniczeń w imporcie zaopatrzeniowym;

— rolnictwo pogrążało się w stagnacji, a nawet w regresie na skutek znacznego zmniejszenia dopływu narzędzi pracy i środków pracy;

— stopa życiowa spadała, a równocześnie rosły nierówności dochodowe, a także rósł wpływ na strukturę dochodów — takich czynników, jak przywileje, spekulacje, korupcja, itd., przy degradacji pracy i potrzeb, jak i kryteriów podziału. Równocześnie występował brak równowagi rynkowej pociągający, poza udręką zakupów, właśnie te nierówności dochodowe i awans aspołecznych kryteriów podziału.

Lukę inflacyjną szacowano pod koniec roku 1979 na około 80 mld zł, tzn. na 5 proc. dochodów nominalnych ludności. Mieliśmy do czynienia, po raz pierwszy w historii PRL, ze spadkiem dochodu narodowego, wytworzonego.

JAK TO SIĘ STAŁO

Taki był stan gospodarczy na początku 1980 roku. Rok ten stał pod znakiem dwóch lub trzech polityk gospodarczych. **Do VIII Zjazdu, tzn. do marca, realizowany był manewr Jaroszewicza, którego zarys tutaj przedstawiłem.** Po przyjściu Babiucha nastąpiły zmiany związane głównie z tym, że zwiększył się nacisk międzynarodowego rynku kredytowego. Nastąpiły trudności z uzyskiwaniem nowych kredytów na skutek pogorszenia się naszej pozycji finansowej, a ponadto rekordowo podskoczyła stopa procentowa, chwilami aż do 20 proc., co podniosło kwotę odsetek od już zaciągniętych procentów. Ten nacisk, a może jeszcze jakieś szanse związane z poprawą trems of trade na początku roku, spowodowały rewizję planów w czerwcu. Postanowiono jeszcze bardziej ograniczyć produkcję, inwestycje i import oraz podnieść eksport, aby do końca roku zlikwidować ujemne saldo handlowe z krajami kapitalistycznymi.

Przy dokonywaniu rewizji **nie podano do wiadomości publicznej, jakie będą konsekwencje** tej operacji dla stopy życiowej, ale wydaje mi się, że postanowiono odejść od zasady podtrzymywania osiągniętego poziomu stopy życiowej i również artykuły konsumpcyjne potraktować jako jedno ze źródeł zwiększonego eksportu, a także jako przedmiot redukcji importowej. Poprzednie władze usiłowały odejść od tej zasady w roku 1976, ale to się nie udało i przez następne 4 lata usiłowano się jej trzymać.

O tym, że Babiuch, jak się wydaje, ponowił próbę, może dowodzić informacja, że według planów skorygowanych w połowie roku, dostawy w czwartym kwartale miały być o 15 proc mniejsze, niż w roku 1979. **Było więc sporo prawdy w tym powiedzonku, które obiegło wtedy Polskę, „że za Babiucha nie wyżyje nawet mucha".** Są jeszcze inne dowody, takie, jak to, że w jego exposé z kwietnia, jedynymi wyraźnymi zapowiedziami były zapowiedzi mające charakter drenażowy. No i wreszcie dowodem jest lipcowy manewr komercyjny, od którego zaczęły się strajki i to, co obecnie przeżywamy.

Wybuch strajków i ich eskalacja spowodowały rewolucyjną zmianę w czynnikach określających politykę gospodarczą w drugiej połowie roku. Nacisk międzynarodowy został wyparty przez nacisk społeczny, posunięcia przestał dyktować względ na bankiera, a zaczął dyktować przede wszystkim względ na spokój w kraju. Sama presja rynku międzynarodowego też osłabła, ponieważ nastąpiło obniżenie stopy procentowej, a równocześnie ustały trudności z otrzymaniem nowych kredytów. Zachód doszedł do wniosku, że destabilizacja w Polsce jest dla niego większym kosztem, niż ryzyko udzielania nowych pożyczek. Sytuacja więc odwróciła się pod tym względem o 180 stopni. Tym, co natomiast było wspólne, choć też nie do końca, było to, że **w obu połowach roku polityka gospodarcza była nie tyle rezultatem jakiejś autonomicznej oceny sytuacji szczebla centralnego, ile wymuszeniem pod naciskiem okoliczności;** z tym, że w drugiej połowie roku ten czynnik znacznie wzmógł się, powodując to, że przekształciła się ona faktycznie w zbiór po pierwsze — skracanie horyzontu polityki gospodarczej, który i tak był już krótki oraz doraźnych decyzji, podejmowanych chaotycznie, bardziej niż to miało miejsce w poprzednim okresie.

Miejsce polityki walki z kryzysem (nieudolnej, ale jakiejś jednak), która się wtedy załamała, pozostało puste i praktycznie pozostaje puste do tej pory; tymczasem kryzys bardzo mocno się pogłębia. **Do przyczyn działających już wcześniej, tych podstawowych, o których mówiłem, doszedł wyjątkowy nieurodzaj w rolnictwie.**

Skutki tego nieurodzaju odczuwamy już dziś. Jest on jedną z przyczyn ostrego pogarszania się zaopatrzenia rynkowego. Niewykluczone, że inną przyczyną tego pogorszania, którego siła maleje jednak z czasem, jest wyeksportowanie większej ilości artykułów konsumpcyjnych i żywnościowych w pierwszej połowie roku w ramach właśnie manewru Babiucha. (W ciągu 9 miesięcy eksport artykułów rolnych był większy o 23 proc. niż w analogicznym okresie ubiegłego roku, z tym że załamał się od lipca). Natomiast siła oddziaływania nieurodzaju będzie potęgowała się w roku 1981. Na skutek nieurodzaju doszło do głębokiego niedoboru pasz (których i wcześniej nie było wiele), mimo, że władze zwiększyły import pasz i składników paszowych do rekordowego poziomu 10 mln ton (w czym jest 8,5 mln ton zbóż, podczas gdy w latach 1978, 1979 importowano 5 mln ton).

Cały zwiększony import paszowy kosztował nas właśnie około 2 mld dolarów. Mimo zwiększenia importu doszło jednak do głębokiego załamania hodowli. Równocześnie, na skutek tego zwiększonego importu, doszło do wzrostu deficytu w handlu zagranicznym i ponownego, szybszego wzrostu zadłużenia.

Kolejnym czynnikiem, który pogłębił kryzys, były podwyżki płac. Szacuje się, że do listopada podwyżki dostało około 12 mln osób, a wydanono to od 100 do 110 mld. zł w przeliczeniu rocznym, z czego by wynikało, że od lipca do grudnia z tego tytułu znalazło się w rękach ludności około 500 mld zł. Odpowiada to przeciętnie 11 proc. podwyżce. Te pieniądze w minimalnym tylko stopniu przyczyniły się do poprawy materialnego położenia ludności, a najprawdopodobniej w ogóle się do tego nie przyczyniły.

Biorąc pod uwagę, że z każdych 100 zł w naszych warunkach idzie na zakupy około 78 zł, można powiedzieć, że z kwoty podwyżek poszło na ten cel w drugiej połowie roku około 38 mld zł. Ale równocześnie szacuje się, że luka inflacyjna wzrosła w czwartym kwartale do 50 mld tzn. wzrosła o 30 mld zł, powyżej średniej luki kwartalnej z 1979 roku. Czyli za dwa kwartały (być może jest to rachunek przesadny) — około 60 mld. Nawet jeżeli wzrosła mniej niż 60 mld, to i tak wynikałoby stąd, że pokrycia towarowego nie znalazły nie tylko pieniądze z podwyżek, które poszły w pogoni za towarem, ale również część pieniędzy, które były w rękach ludności już wcześniej.

Być może jest to rachunek przybliżony, ale w najlepszym razie mamy tutaj do czynienia z brakiem realnego efektu jeżeli chodzi o wzrost stopy życiowej.

Podwyżki były natomiast kolejnym czynnikiem (oprócz zmniejszenia podaży) ogałacającym sklepy, tym bardziej, że działały one dwojako. Po pierwsze — ponieważ większe zakupy tych co do towaru dotarli, powodowały ogołacanie półek, po wtóre — widok ogołoconych półek powodował zakupy na zapas. A wystarczy, aby np. każde gospodarstwo domowe zdecydowało się zwiększyć zapas mąki o 1 kg, aby w okresie, w którym ta decyzja zostaje podjęta, popyt na mąkę skoczył o 8 proc. (liczone w stosunku do wielkości dostaw mąki w końcu 1979 roku).

I tutaj kryje się tajemnica bardzo wielu nieporozumień w społeczeństwie i fałszywych poglądów jeżeli chodzi o wpływ dochodów i cen na zaopatrzenie rynku. Nieporozumienia polegają na tym, że tego rodzaju zjawiska ocenia się jak gdyby przez pryzmat własnego gospodarstwa. Mówi się na przykład — dlaczego nie ma masła, skoro u nas tego masła się właściwie nie je więcej. Ale trzeba pamiętać, że w Polsce jest 10 mln gospodarstw domowych i zwiększenie spożycia masła np. na gospodarstwo domowe o 10 gramów dziennie, tzn. na osobę o jakieś 2,5 do 3 gramów dziennie, czyli o jedną kostkę na 25 dni, oznacza konieczność zwiększenia dostaw o 36,5 tys ton rocznie, tzn. o 14 proc.! Wydaje mi się (nie jestem specjalistą od rolnictwa), że na taki wzrost dostaw rolnictwo musi pracować od 1,5 do 2 lat. I to właśnie, co w pojedynczym gospodarstwie jest prawie nieodczuwalne, jeżeli zostaje pomnożone przez te 10 mln gospodarstw domowych, może wywołać potężny wstrząs rynkowy, taki jak ten, który przeżywamy obecnie. Dlatego uważam, że aby wyjaśnić przyczyny tego stanu rzeczy, wystarczy odwołać się do znanych faktów i do praw ekonomicznych, natomiast nie trzeba szukać niewidzialnej ręki, która dla jakichś złych celów specjalnie dezorganizuje rynek.

Chaos na rynku żywnościowym spowodował dodatkowe zakupy żywności za granicą na kredyt, no i oczywiście przyczynił się do dalszego pogorszenia deficytu. Innym czynnikiem, który spowodował zaostrzenie się kryzysu, jest **spadek wydobycia węgla oraz produkcji szeregu kluczowych produktów zaopatrzeniowych, np. miedzi, cementu, energii elektrycznej.** Głównie jednak chodzi o węgiel — centralny surowiec w naszej gospodarce, od którego zależy produkcja hodowlana, produkcja energii, ciepło, światło w domach i — dewizy.

JAK JEST

To byłby obraz rozwoju sytuacji gospodarczej w toku roku. Jest to oczywiście obraz niekompletny, zapewne nieprecyzyjny, być może w wielu punktach dyskusyjny.

Przejdę teraz do próby spojrzenia na bilans sytuacji gospodarczej, z jaką wchodzimy w nowy rok. **Po pierwsze, wchodzimy w nowy rok z dochodem narodowym wytworzonym mniejszym, jak się szacuje obecnie, o jakieś 3 proc.** Jeżeli chodzi o tę kluczową wielkość, która jest źródłem wydatków na akumulację i konsumpcję, cofnęliśmy się do poziomu z 1976 roku, mimo, iż mamy dzisiaj więcej ludzi do wyżywienia o 1 mln 100 tys. osób, tj. o 3,3 proc oraz więcej pieniędzy w rękach ludności o 45 proc. — to jest o 520 mld zł.

Pobiliśmy w ten sposób również rekord załamań gospodarczych wśród państw naszego obozu. Dotąd dzierżyli go Czesi, którym dochód narodowy spadł w latach 60 tylko w jednym roku.

Po drugie — wchodzimy w rok 1981 z zadłużeniem zwiększonym z 20 do 23 lub 23,5 mld dolarów i z deficytem zwiększonym z 1,4 mld do 3—3,5 mld dolarów, czyli z takim samym deficytem, jaki był w roku 1976, kiedy rozpoczynał się manewr Jaroszewicza. Wzrośnie również koszt obsługi tego długu, tzn. coroczna kwota procentów i rat oraz jej ciężar dla gospodarki, który mierzy się udziałem obsługi w wartości eksportu wolnodewizowego. U nas na obsługi idzie już chyba więcej, niż wynosi wartość eksportu. Można w ten sposób powiedzieć, że garb kredytowy coraz bardziej rośnie i coraz bardziej przygina gospodarkę do ziemi.

Po trzecie — wchodzimy w rok 1981 z frontem inwestycyjnym tak samo rozciągniętym i tak samo nie uporządkowanym, jak na początku roku 80. Szacuje się, że zamrożenie inwestycyjne na koniec roku wzrośnie do 14 mld zł, ale równocześnie zaangażowanie inwestycyjne pozostanie bez zmian. Oznacza to, że choć poszliśmy do przodu, to równocześnie meta oddaliła się mniej więcej o tyle samo, ponieważ podjęte zostały nowe inwestycje. Mierne są również rezultaty tzw. żniw inwestycyjnych. Planowano, że odda się do użytku obiekty o wartości kosztorysowej 240 mld, a do października oddano tylko 47 proc. tego, co planowano. A problemem jest jeszcze, ile z tych obiektów będzie pracowało pełną mocą. Bardzo niedobrze wreszcie wygląda sytuacja budownictwa mieszkaniowego. W spółdzielczości, w ciągu 10 miesięcy, wykonano 46 proc planu, który i tak został w połowie roku poważnie obniżony, tak że ukształtował się poniżej wykonania w roku ubiegłym.

W rok 1981 wchodzimy z drastycznie załamanym bilansem węglowych. Szacuje się (i jest to chyba szacunek optymistyczny), że jego wydobycie obniży się około 20 mln ton w stosunku do stanu z 1979 roku i wyniesie ok. 180 mln ton. Takie wydobycie oznaczało będzie, jak sądzę, podobne do obecnych braki w zaopatrzeniu w węgiel odbiorców krajowych, o połowę mniejszy eksport, mniejszy o tych właśnie 20 mln ton, co jest równoznaczne prawdopodobnie z wyrwą w przychodach dewizowych rzędu 1 do 1,2 mld dolarów, czyli od 16 do 20 proc., z bardzo niewielką, lub prawie żadną szansą wyrównania tej wyrwy eksportem innego towaru. A zatem, z konieczności podzielenia tej kwoty, tak jak w tym roku, prawdopodobnie trzeba będzie zrobić, między dodatkowe zadłużenie i ograniczenie importu.

Po czwarte — rok 1981 zaczynamy w warunkach nasilonego regresu w rolnictwie, na który składa się skumulowany efekt ograniczeń dostaw środków produkcji w ostatnich latach i skutki tegorocznych warunków klimatycznych. Znalazłem taką informację, iż degradacji w różnym stopniu uległo w tym roku 14 mln ha gruntów ornych, tzn. 75 proc ogółu gruntów, głównie na skutek wypłukania składników mineralnych z gleb. Żeby to wyrównać, trzeba by wysoko podnieść nawożenie, na co przypuszczalnie nie będzie nas stać, właśnie ze względu na ograniczenia importu i na niedokończone inwestycje.

Niewykluczone więc, że nawet dobra pogoda nie da w przyszłym roku zadowalających plonów.

W 1981 roku da też z całą pewnością znać

JAN KRASZEWSKI

CO SIĘ STAŁO W PARTII

„...NSZZ „Solidarność" jest w świadomości społecznej głównym reprezentantem sfery „MY" wobec partii i rządu, które konstytuują sferę „ONI". Stopniowo kształtuje się i rozwija system dwuwładzy. Z tego wynika, że partia — a szczególnie jej instancje kierownicze — znalazły się po niewłaściwej stronie. Partia musi być razem z „Solidarnością" oraz innymi organizacjami społecznymi po jednej i tej samej stronie „MY". W przeciwnym razie istnienie partii i jej kierowniczej roli traci jakikolwiek sens".

Zacytowałem fragment dokumentu uchwalonego 30 listopada ub. roku przez zakładową organizację partyjną Łódzkich Zakładów Radiowych „Fonica". Można z tym akapitem oceny sytuacji politycznej w kraju nie zgadzać się, można z nią polemizować. Ale trzeba przyznać autorom tego dokumentu — umiejętności trafnego przewidywania. Dziś z perspektywy dwóch miesięcy widać wyraźnie ostro zarysowujące się, biegunowe stanowiska rządu i związków zawodowych, przede wszystkim „Solidarności". Sprawa wolnych sobót jest tego przykładem najdobitniejszym. O co więc chodzi? Czy mamy do czynienia z desperackim odruchem części klasy robotniczej, mogącym kraj skierować na drogę społecznej i gospodarczej anarchii? Czy bez znajomości całokształtu skomplikowanej i trudnej sytuacji gospodarczej, uzależnień ekonomicznych i politycznych z Europą i niemal z całym światem — można stawiać tak jednoznacznie, bezkompromisowe żądania? A z drugiej strony, skąd wiadomo jakie są ekonomiczne możliwości kraju, skoro rząd mimo podpisanych porozumień, nie przedstawił społeczeństwu jego rzeczywistego stanu? Może rzeczywiście, przy lepszej organizacji pracy przemysłu, energetyki, transportu, zapewnieniu niezbędnych środków produkcji dla rolnictwa — stać nas na luksus wszystkich wolnych sobót?

Te i podobne pytania towarzyszą nam codziennie, są nieodłączną częścią naszych rozmów. Sprawa jedna, cel niby ten sam, a rozwiązania krańcowo różne. Ale nie o soboty, można by powiedzieć, idzie. W tym przypadku chodzi o sposób sprawowania władzy, styl rządzenia krajem, społeczeństwem zmęczonym dolegliwościami codzienności i niezłomnym w przekonaniu, że odnowa musi dokonać się tutaj i teraz. Że nie jest możliwe jej odłożenie na lepsze czasy, jak to już wcześniej bywało. Chodzi więc w moim rozumieniu o odpowiedź na podstawowe pytanie: jaki kształt przyjmie nowy system ludowładztwa, czy klasą robotnicza, chłopstwo i inteligencja będą decydować o własnym losie, czy też wszechwiedzący rząd załatwi za nas wszystkich, wyręczy społeczeństwo w jego podmiotowości? Dotychczasowe jego poczynania nie najciekawszą przyszłość prorokują. Chodzi więc o pryncypia, o to, by władza należała do ludu pracującego miast i wsi — jak zapisano w konstytucji.

Czy stawianie tak całej sprawy może być wielkim błędem? W Konstytucji czytamy, że przewodnią rolę w państwie spełnia PZPR wraz z ZSL i SD. Jest to siła, i są to siły, posiadające w rzeczywistości konstytucyjnie określone kompetencje. Wszystkie więc kwestie istotne dla życia obywateli, sprawy bezpieczeństwa państwa i socjalizmu nie mogą być partii obojętne.

Trzy miliony członków, dziś może mniej, historyczne racje, bezdyskusyjne dokonania, widoczne i niepodważalne przez nikogo. I brzemię odpowiedzialności za błędy, niepowodzenia w przeszłości, konflikty wewnątrzklasowe, ideologiczne i moralne spustoszenie w partii i w społeczeństwie, głębokie deformacje ustrojowe, gospodarcze i finansowa klapa. To nasze wiano.

Szukać przyczyn skutków należałoby w naszej historii, tej najnowszej. Przeżywamy czwarty i najcięższy kryzys. Bezkrwawy i chyba najdłuższy, bo do jego zakończenia daleko. Klasa robotnicza kolejny raz odrzuciła skompromitowane, nie pasujące do polskich tradycji, polskiej specyfiki metody rządzenia, w którym silnie rozbudowany aparat biurokratyczny centrum, podejmujący arbitralne i błędne decyzje, rozstrzygał o Polsce bez udziału jej obywateli.

SPOJRZENIE W PRZESZŁOŚĆ

Lata wojny i bezpośrednie po niej, przyniosły polskiej lewicy rewolucyjnej zdobycie władzy w kraju. Będąca w mniejszości PPR formułuje swój program polityczny, oparty o dobrą znajomość dążeń, marzeń i oczekiwania własnego narodu. Potrafi w deklaracjach „O co walczymy" zawrzeć to wszystko, czego większość umęczonego narodu potrzebowała i pragnęła. Był to iście program narodowy, program polskiej drogi do socjalizmu. Wraz z odrodzoną PPS, ruchem ludowym i inteligencją umiała PPR w ostrej bezkompromisowej walce politycznej — z klasowym przeciwnikiem — tę władzę okupioną dziesiątkami tysięcy ofiar umocnić.

Pośpieszne, do końca nieuzasadnione zjednoczenie ruchu robotniczego w 1948 roku, poprzedziło wyeliminowanie z kierownictwa partii głównych twórców polskiej drogi do socjalizmu. Elementy sekciarskie z mniejszościowego nurtu KPP, odstąpiwszy od leninowskich metod kierowania partią, wspierane błędnymi ocenami i decyzjami Kominternu, wniosły do nowo powstałej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej obcy polskiej tradycji i rzeczywistym interesom narodowym styl. Polegał on przede wszystkim na ograniczonym zaufaniu do mas członkowskich i społeczeństwa, pomniejszaniu roli Sejmu, organizacji samorządowych w kierowaniu państwem i gospodarką, na podejmowaniu arbitralnych i woluntarystycznych decyzji. Przyjmując niezwykle forsowny program inwestycyjny w przemyśle ciężkim, a zaniedbując inne dziedziny życia takie jak: rolnictwo indywidualne, przetwórstwo żywności, usługi. Na siłę robiona kolektywizacja rolnictwa, polityka tzw. awansu społecznego — doprowadziła do deprecjacji zawodu rolnika. Wszystkie te błędne decyzje spowodowały nagromadzenie się dysproporcji gospodarczych i naruszenie równowag ekonomicznej. W efekcie Plan 6-letni nie został wykonany w wielu dziedzinach a powstałe zaległości trzeba było „odrabiać" w następnej 5-cio latce.

Osobiście upatruję początków naszych obecnych trudności właśnie w tamtym okresie. Kolejne kryzysy w 1956, 1970 i obecny powstały na tym samym tle. Oderwanie się kierowniczych gremiów partyjnych i rządowych od mas członkowskich i społeczeństwa powodowały odchodzenie od słusznych i wypracowanych przez partię programów politycznych i ekonomicznych. Prowadziło to do kolejnych błędnych decyzji podejmowanych w niezgodzie z rzeczywistymi realiami, bez liczenia się z prawami przyrodniczymi, ekonomicznymi i socjologicznymi.

Arogancka pewność siebie i własnej nieomylności, ignorowanie zbiorowej mądrości coraz bardziej świadomego, wykształconego społeczeństwa prowadziła niechybnie do wielkich społecznych konfliktów.

załamanie hodowli, które wystąpiło w II połowie tego roku. Szacuje się, że pogłowie bydła spadnie z 13 mln sztuk do 12,3 mln sztuk w roku 1981, a pogłowie trzody chlewnej z 21,2 mln do 18,5 mln sztuk, tzn. do stanu nieco niższego niż w roku 1967, kiedy to mieliśmy do czynienia również z załamaniem hodowli. Tym razem to załamanie ma oczywiście miejsce przy znacznie większym popycie na mięso. Skup obniży się zaś o około 350 tys. ton, tzn. o około 13 proc. poniżej roku 1979.

Po piąte — rok 1981 zaczynamy ze wzbierającym coraz bardziej nawisem inflacyjnym, tzn. z różnicą pomiędzy ilością pieniędzy, które ludność przeznacza na zakupy, a ilością, którą faktycznie wydaje, znalazłszy poszukiwany towar. Szacuje się, że ta luka inflacyjna wyniesie ok. 200 mld zł, bez liczenia tej części wkładów oszczędnościowych „na żądanie", która w każdej chwili może zostać skierowana na rynek. Trudno mi powiedzieć, jaki procent siły nabywczej stanowił będzie nawis inflacyjny, sądzę natomiast, że odpowiadał mu będzie taki mniej więcej poziom zaopatrzenia rynkowego, z jakim mamy do czynienia ostatnio, takie mniej więcej warunki nabywania towarów, z jakimi mamy do czynienia ostatnio. Chyba, że władze zdecydują się na dodatkowe kredyty konsumpcji, i że je otrzymają. Ale, ani to,

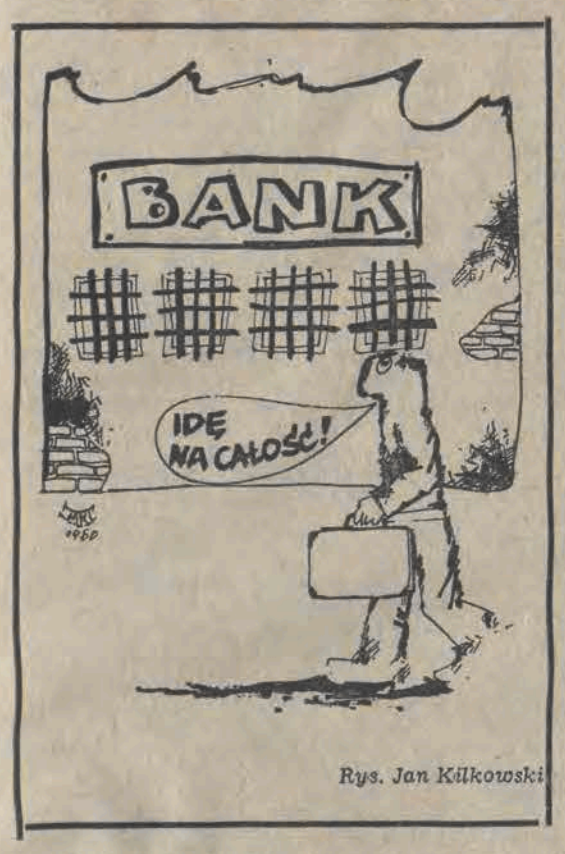

Rys. Jan Kilkowski

ani to nie jest pewne, ani pożądane. Sądzę, iż doszliśmy do takiej sytuacji, w której powinniśmy zacząć się starać, byśmy się nie stali „żebrakiem Europy", i to nie tylko Zachodu, ale również Wschodu.

NA CO MOŻEMY LICZYĆ

Teraz chciałbym przejść do następnego punktu: na co możemy liczyć w 1981 roku. Jeżeli chodzi o stopę życiową, to sądzę, że w roku 1981 najprawdopodobniej nastąpi dalszy jej spadek.

Nie bardzo widzę, skąd można by wziąć na utrzymanie standardu, tym bardziej na jego wzrost, choćby minimalny. Pewno padnie pytanie, może by wziąć ze zbrojeń? Więc być może, że można wziąć ze zbrojeń, chociaż znacznie łatwiej jest zamienić masło na czołgi, niż czołgi na masło. Ale oprócz tego trzeba pamiętać, że z tą pozycją budżetu wiążą się zobowiązania sojusznicze i, że nie można nią swobodnie manipulować. Wydaje mi się, że takie są po prostu realia, a w ogóle że w opinii publicznej przesadza się chyba możliwy pozytywny wpływ redukcji tego rodzaju wydatków na szybką poprawę sytuacji gospodarczej i stopy życiowej.

Moim zdaniem, nie do przyjęcia są również nowe długi konsumpcyjne, ponieważ byłoby to chyba jeszcze większe nieszczęście, niż spadek stopy życiowej, bo za parę lat i tak zapłacilibyśmy za to, przypuszczalnie jeszcze większą cenę. I to jest tylko odkładanie nieszczęścia w czasie.

W tej sytuacji jedynie realna, moim zdaniem, jest obrona stopy życiowej grup najbiedniejszych kosztem bogatszych (nie w ogóle obrona, tylko obrona kosztem bogatszych) i wyrównywanie przy okazji dysproporcji dochodowych. Przypuszczam, że dodatkowe pieniądze z tytułu porozumień strajkowych, które zostaną wypłacone w roku bieżącym, podobnie jak to się stało w roku ubiegłym, pójdą przede wszystkim na powiększenie luki inflacyjnej i pogorszenie trudności zaopatrzeniowych. Nie sądzę również, by mogły dać odczuwalne korzyści podwyżki rent, emerytur i zasiłków, które mają nastąpić od początku roku i będą kosztowały około 30 mld zł, jeżeli równocześnie w jakiś sposób nie zabierze się tych 30 mld zł grupom zamożniejszym.

Jeśli chodzi o zaopatrzenie rynku, a właściwie o warunki nabywania towarów, to sądzę, że jedynym sposobem na jakąś poprawę w tej chwili jest oczywiście system kartkowy. Ale, moim zdaniem, jest to system, do którego społeczeństwo prawdopodobnie się rozczaruje, zresztą rozczarowuje się już. Natomiast, moim zdaniem, **jedynym skutecznym sposobem, który w roku 1981 mógłby dać odczuwalną poprawę warunków nabywania towarów, jest ruch cen w górę, ale ruch cen w górę nie chaotyczny, tylko zaplanowany, stanowiący fragment programu porządkowania cen i dochodów, przedyskutowany ze społeczeństwem i zaakceptowany przez siły społeczne.**

Podwyżkom cen, gdyby takie miały nastąpić i aby były one celowe, musi towarzyszyć, po pierwsze — wyrównywanie strat dla biedniejszych gospodarstw domowych z wyjątkiem rekompensaty podwyżek cen używek i ewentualnie artykułów luksusowych i blokada dochodów nominalnych reszty. Tylko wtedy ta operacja może mieć jakiś sens. Mogą być oczywiście robione inne próby poprawy warunków nabywania towarów, nacelowane na zwiększenie podaży, jak np. rozwijanie drobnej wytwórczości prywatnej, rozwijanie handlu ajencyjnego, itd. To są, moim zdaniem, pożyteczne kierunki działania, one mogą dać rezultaty, ale nie doprowadzą do przełomów w poprawie zaopatrzenia sklepów.

W tej sytuacji, jak sądzę, mamy już, będziemy mieli do czynienia, z rozczarowaniem do systemu kartkowego. **Byłoby być może celowe, aby w roku 1981 powrócić bez niedomówień do dyskusji nad generalną reformą cen detalicznych i płac.** Powrócić do dyskusji, to nie znaczy, że ją wprowadzić — to znaczy podjąć pracę nad taką reformą, pokazać społeczeństwu, jak ona miałaby wyglądać i oczywiście zapytać się o zdanie.

Gdyby się coś dało zrobić w tej sprawie w roku 1981, byłby to, moim zdaniem, pozytywny rys, jeśli chodzi o pokonywanie kryzysu.

Jeżeli chodzi o zadłużenie, należy na pewno się liczyć z dalszym wzrostem kredytowego garbu. Tuż za zwiększaniem się zadłużenia, w dalszym ciągu długi będą rosły i, moim zdaniem, jest prawie pewne, że nie zatrzymamy się przed 30 mld poziomu zadłużenia, a co będzie dalej, to się okaże. A spłacać będą te długi jeszcze nasze wnuki na początku XXI wieku prawdopodobnie.

Być może mniejszy natomiast będzie niż w roku ubiegłym deficyt płatniczy, tzn. być może wyniesie on nie 3—3,5 mld, ale np. 2 mld dolarów, albo mniej. Bardzo natomiast wątpliwe jest, aby udało się uzyskać równowagę.

Jeżeli chodzi o dochód narodowy, to — jak już powiedziałem — będziemy mieli do czynienia w najlepszym razie z jego stagnacją, a prawdopodobnie ze spadkiem o 1—2 proc. To jest już jednak prognoza pisana całkowicie palcem na wodzie.

To, co tutaj powiedziałem, to jest bardzo czarny obraz sytuacji. Jest on tym bardziej czarny, że prawdopodobnie nie ma dzisiaj nikogo, kto zdołałby go zmienić. Nawet gdybyśmy mieli do czynienia z genialnymi politykami gospodarczymi, to prawdopodobnie takiemu, jak tutaj przedstawiłem, rozwojowi sytuacji, nie zdołaliby oni zapobiec całkowicie. Być może jakoś by zmniejszyli stopień pogarszania się sytuacji, ale nie zapobiegliby mu, ponieważ podstawowe fakty, które będą określały sytuację w roku 1981 już zaszły, a właśnie w roku 1981 będziemy mieli do czynienia z ujawnianiem się skutków tych zaszłych już faktów.

CO MOŻEMY ZROBIĆ

Teraz powstaje pytanie — czy wobec tego czarnego obrazu nie ma możliwości jego rozjaśnienia, czy rzeczywiście w roku 1981 powinniśmy oczekiwać kolejnych i tylko klęsk gospodarczych. Otóż **wydaje mi się, że takie rozjaśnienie obrazu jest możliwe.** Otóż to, co się dzieje w naszej gospodarce od paru lat, przypomina (mówiąc językiem wojskowym) odwrót, przy czym odwrót może być oczywiście różny. Odwrót może być ucieczką i odwrót może być wycofaniem się — planowym wycofaniem się z wyciągnięciem wszystkich korzyści z takiego manewru i ze stwarzaniem jednocześnie przesłanek do jak gdyby przyszłej kontrofensywy. Otóż, niestety, nasz odwrót do tej pory miał znacznie więcej elementów ucieczki pod bezpośrednią presją przeciwnika, niż właśnie świadomego wycofywania się. Ja sądzę, że być może **najwłaściwszym celem polityki gospodarczej w roku 1981 powinno być właśnie to, żeby przekształcić ucieczkę w wycofywanie się.** Jak to wycofywanie mogłoby wyglądać, powiem krótko na dwu strategicznych dla sytuacji gospodarczej przykładach.

Po pierwsze — np. inwestycje. Do tej pory mamy taką sytuację, że możliwości gospodarki obniżają się, jest ona coraz bardziej niezdolna do dźwigania ciężaru rozbudowanego programu inwestycyjnego. Wobec tego program ten załamuje się. Powstają konieczności obcinania nakładów inwestycyjnych, zamykanie budów, itd. Tyle tylko, że dzieje się to w znacznej mierze żywiołowo, przy bardzo dużym udziale różnych oddolnych presji i w rezultacie redukuje się nakłady, które mają najmniejszą siłę przebicia, za którymi stoją słabe grupy nacisku, bądź te, które nie mieszczą się jak gdyby w upodobaniach przywódców, czy też upodobaniach działaczy gospodarczych.

Otóż sądzę, że te formy redukowania programu inwestycyjnego można by zastąpić formą znacznie bardziej uporządkowaną, znacznie bardziej planową — działaniem dokonywanym w oparciu o program skonstruowany z punktu widzenia całej gospodarki narodowej i z punktu widzenia korzyści liczonych w kategoriach pokonywania kryzysu, po to, aby redukować nakłady inwestycyjne tam, gdzie zyski nie są oczywiste, a zaoszczędzone środki przekazywać tam, gdzie mogłyby one dać największe efekty. Sądzę, że gdyby udało się dokonać postępu w tej dziedzinie, to byłby to bardzo poważny krok w pokonywaniu kryzysu, z tym, że nie jest to oczywiście łatwe, ponieważ, jak powiedziałem za inwestycjami stoją silne lobby biurokratyczne, a ostatnio stoją również lobby „Solidarnościowe", ponieważ inwestycje (wbrew pozorom) to są także płace. Ale taki program powinien być opracowany i powinien być publicznie przedyskutowany z tymi różnymi grupami nacisku — pracowniczymi, resortowymi, terytorialnymi.

Druga strategiczna dziedzina to jest problem rynku i stopy życiowej. Stopa życiowa, tak czy owak, spada, ceny — tak czy owak — rosną, tyle tylko, że ten spadek i ten wzrost cen dokonuje się żywiołowo, nie daje nic jeśli chodzi o poprawę struktury dochodów i poprawę struktury cen. Przeciwnie, pociąga pogorszenie tego i tego. Otóż, być może, skoro ceny i tak rosną, a płace i stopa życiowa i tak spadają, to, być może, lepiej byłoby, aby one rosły i spadały również w oparciu o jakiś program, podobnie jak w poprzednim przypadku przedyskutowany, uzgodniony z siłami społecznymi, program, który pozwoliłby z przykrych konieczności wyciągnąć maksimum korzyści. Byłby to również wielki postęp, tym bardziej, że jeśli reforma gospodarcza i system gospodarczy, ten, który ewentualnie będzie wprowadzony w toku reformy gospodarczej, ma działać sprawnie i przynosić korzyści, to musi działać w warunkach prawidłowej struktury cen.

Można w roku 1981 podjąć również inne działania, które miałyby podobny efekt, tzn. przekształciłyby ucieczkę w wycofywanie się. **Np. sądzę, że wiele jest do zrobienia w rolnictwie:** prawie od zaraz, chociaż oczywiście nie z miesiąca na miesiąc, zlikwidować biurokratyczne zarządzanie sektorem uspołecznionym w rolnictwie i zwiększyć bardzo poważnie stopień samodzielności PGR, spółdzielni produkcyjnych, itd. Po drugie — uważam, że należałoby działać znacznie bardziej zdecydowanie, jeśli chodzi o realizację środków na korzyść gospodarki chłopskiej. Sądzę również, że bardzo pozytywne znaczenie, jeśli chodzi o klimat na wsi, również klimat produkcyjny, miałoby ostateczne zalegalizowanie „Solidarności" wiejskiej.

Kolejnym pociągnięciem, które mogłoby poprawić stan rzeczy w roku 1981, gdyby zostało konsekwentnie przez władze zastosowane, byłoby wprowadzenie zasady, by — o ile to możliwe — starać się, żeby sprawy załatwiły się same, tzn. przede wszystkim nie wtrącać się. Jeżeli okaże się, że jakieś sprawy mogą „załatwić się same", że niepotrzebny jest tam limit, czy dyrektywa, czy nakaz administracyjny — wycofać się z ingerencji w te dziedziny, pozwolić, aby jak najwięcej spraw załatwiało się samo, patrząc tylko, żeby one nie załatwiały się w sposób społecznie nie do przyjęcia.

To są kierunki działania, może niezbyt dokładnie i konkretnie sprecyzowane (ale ja nie stawiam sobie tutaj zadania formułowania programu), w których inicjatywa należy do władz.

Ale myślę, **że niezbędne są też działania, w których inicjatywa powinna należeć do ruchu związkowego.** Uważam np., że byłoby bardzo pożyteczne, gdyby „Solidarność" podjęła sprawę odbudowy etyki narodowej w tym kraju. Działania, które by dawały gwarancję, że plakietka „Solidarność" i członkostwo do czegoś zobowiązuje. No, chociażby do solidnej obsługi klienta, czy też do dobrej pracy. Myślę, że autentyczny ruch związkowy może w tej dziedzinie zrobić bardzo wiele, a taka właśnie odbudowa etosów zawodowych, etyki zawodowej, jest w naszym kraju bardzo potrzebna. Jest to niewymierna siła wytwórcza, która może dać bardzo duże rezultaty.

Myślę, że warto byłoby podjąć inicjatywę Janasa z „Ursusa", który powiedział, że „jak nie macie forsy na podwyżki płac, to my te pieniądze znajdziemy" — i rzeczywiście wykryli ogromne marnotrawstwo.

Efekty takich działań nie byłyby natychmiastowe, ale miałyby, moim zdaniem, istotne znaczenie zarówno dla poprawy klimatu, jak i stworzyłyby przesłanki wyjścia z kryzysów na przyszłe lata.

Ponura, czarna perspektywa, którą wcześniej przedstawiłem, daje podstawę do stwierdzenia, że „nasz dom się pali" i że powinniśmy walczyć o to, żeby nikt go więcej za nas nie urządzał, żebyśmy mieli prawo do urządzania tego domu sami. Ale myślę, że równocześnie **naszym obowiązkiem jest zbiorowe gaszenie tego pożaru,** bez stawiania jakichkolwiek warunków, ponieważ sądzę, że jest to absurd. Myślę o takiej postawie, że będziemy gasić, jeżeli gwarantujecie, iż po ugaszeniu ognia okna będą większe, krzesła będą miękkie, a w domu będzie ciepłej. Otóż straż pożarna nie pertraktuje, a sytuacja jest właśnie taka, że zobowiązuje społeczeństwo, by wzięło na siebie rolę w pewnym sensie straży pożarnej.

Obawiam się jednak, że na takie postawy społeczne bardzo trudno będzie liczyć i oczekiwać ich, jeśli we władzach na górze będzie panowało przekonanie wypowiadane również publicznie, że jedyną siłą, która może wyprowadzić ten kraj z kryzysu gospodarczego, jest partia. Za takimi stwierdzeniami (czy się tego chce, czy nie) ukrywa się, moim zdaniem, pragnienie sprowadzenia społeczeństwa do amorficznej masy, którą się w coś wprowadza i z czegoś wyprowadza. Poza tym takie stwierdzenie wywołuje natychmiast reakcję — skoro tylko partia jest zdolna wyprowadzić kraj z kryzysu, to wobec tego odpuśćmy sobie to i poczekajmy. Otóż jest to nieprawda.

Kryzys istotnie został spowodowany przez partię, a mówiąc dokładnie — przez poprzednie kierownictwo i dużą część aparatu. Ale wyjść z niego można, moim zdaniem, tylko skoncentrowanym wysiłkiem całego społeczeństwa, wszystkich grup społecznych i wszystkich sił społecznych. **Sądzę, że w sprawie wychodzenia z kryzysu poprzez koalicję sił społecznych — a jest to, jak sądzę, jedyna realna perspektywa — bardzo by sprzyjało, aby ta świadomość dojrzała również na górze, aby nie było takich kategorycznych stwierdzeń, że tylko jedna siła i nikt ponadto...**

WALDEMAR KUCZYŃSKI

Pierwsze fazy wywoływane były pogarszającą się sytuacją żywnościową i bytową. Nadmiernie rosły ceny, pogarszała się aprowizacja miast w artykuły pierwszej potrzeby (również na wsi, gdzie ostre braki podstawowych środków produkcji, szczególnie w okresach niesprzyjających warunków klimatycznych dawały niskie plony). Niedoinwestowane, wydrenowane ze zdrowej, silnej, wykształconej kadry nasze rolnictwo indywidualne — dźwigające na sobie ciężar przyspieszonej po każdym kryzysie industrializacji i pokrywającej w znacznej części wciąż nieopłacalny eksport wielu przemysłów — nie było w stanie i w latach siedemdziesiątych zaspokoić rosnących potrzeb ludności. Stąd konflikty na tym tle, zaostrzane nierozważnymi podwyżkami cen na żywność. Przyczyna główna zawsze leżała w tym, że — mimo wielu niezłych programów w stosunku do rolnictwa — w praktyce ich nie realizowaliśmy. To, że zaledwie, kilka proc. mocy przemysłu pracuje na rzecz rolnictwa, jest tego najdobitniejszym przykładem.

Jak powiedział jeden z uczestników Kongresu ZSL, polityka importu ogromnych ilości zbóż i pasz, przy powszechnym braku w chłopskich magazynach nawozów, środków ochrony roślin i węgla, była polityką inwestowania twardej waluty w amerykańskich i kanadyjskich farmerów.

Nie zamierzam prezentować całego katalogu błędnych decyzji ekonomicznych. Czytamy o nich od dawna. Powiedziałem o sprawie problemu żywnościowego więcej, ponieważ od jego rozwiązania zależy w znacznej mierze przywrócenie równowagi ekonomicznej, wreszcie ładu i porządku w kraju. Bo niezrozumiałym jest dla mnie np. fakt, że w okresie letnim w woj. sieradzkim marnuje się 500 tys. litrów mleka dziennie, czyli połowa tego co dostarczają rolnicy z tego obszaru. Z wielu fragmentarycznych informacji można się dowiedzieć, że w innych regionach jest podobnie. Oblicza się, że średnio w kraju gnije 30—40 proc. ziemniaków. Nie nadążają ze skupem przetwórnie mięsa, fatalny system organizacji skupu i przechowalnictwa również innych płodów rolnych w tym zboża w okresach zwiększonych plonów, warzyw i owoców.

Czy nie należy wpierw zmniejszyć karygodne marnotrawstwo, gołym okiem widoczne niszczenie ludzkiej pracy, efektów w ciężkim trudzie, w siedmiodniowym i bezurlopowym systemie pracy osiągniętym. A dopiero później czy też równolegle, podejmować wielkie konstrukcje i plany. Należałoby przywrócić po prostu zdrowy chłopski rozsądek, przywrócić do życia racjonalizm, odpowiedzialność i kompetencję.

DECYDUJE KONSEKWENCJA

Dziś jest powszechnie jasne, że błędy i wynaturzenia w kierowaniu partią, w łamaniu centralizmu demokratycznego, zaniechanie konsultacji ważnych decyzji z członkami partii, ze społeczeństwem prowadziło do kryzysów. Stawanie ponad partią, jej uchwałami, narzucanie arbitralnych rozwiązań towarzyszyło trzem milionom członków partii w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Ogólną niemoc w wyrażeniu protestu, przy braku wewnątrzpartyjnych mechanizmów blokujących samowolę przywódców, zastąpił żywiołowy protest klasy robotniczej. Dziś jest już zorganizowana i zjednoczona solidarnie w swej bezkompromisowości.

CZYSTE RĘCE

W trwającym kryzysie jedno jest nietypowe dla poprzednich. W tamtych nikt nie mógł zarzucić, że jej wysocy funkcjonariusze kradli, że sprzeniewierzyli społeczne i państwowe pieniądze dla własnych egoistycznych celów, że zohydzili partię w oczach własnego narodu, własnych członków, że skompromitowali ją w międzynarodowym ruchu robotniczym. Rzeczy niewybaczalne, z których trzeba się roliczyć w pierwszej kolejności przed własną partią. Pierwszy to warunek odzyskania zaufania i wiarygodności, pierwszy warunek pomyślnego kontynuowania procesu odnowy.

Partia musi udowodnić, że moralność, prawdomówność, szczerość, uczciwość i prawda nie są pojęciami abstrakcyjnymi, lecz praktycznie funkcjonującymi, przestrzeganymi z całą konsekwencją prawa karnego i partyjnej odpowiedzialności. Są to głosy tak powszechne, że nawet cytowanie ich jest dziś pozbawione sensu. Słychać je na każdym zebraniu partyjnym, zapisane są w licznych dokumentach. O co więc idzie? Co ma uczynić partia jako całość i jej kierownicze władze?

Po pierwsze: musi stanąć na czele procesu socjalistycznej odnowy.

Po drugie: konsekwentnie i w porozumieniu z całym społeczeństwem realizować porozumienia.

Po trzecie: zwiększyć kontrolę nad działalnością rządu, którego nieprzemyślane decyzje powodują dodatkowe napięcia i konflikty działające na szkodę partii.

Po czwarte: respektując w praktyce postanowienia VI i VII plenum KC, przeprowadzić przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem kampanię sprawozdawczo-wyborczą w całej partii, z jednoczesnym roliczeniem ludzi odpowiedzialnych za przyczyny kryzysu i katastrofalny stan gospodarki i kraju oraz skorumpowanych, przeciwnych dokonywującej się odnowie.

Po piąte: przywrócić w praktycznej działalności wszystkich instancji, leninowskie zasady centralizmu demokratycznego. Konieczne jest, aby zjazd uchwalił nowy statut wraz z demokratyczną ordynacją wyborczą — jako podstawowymi gwarancjami zabezpieczającymi przed ponownymi katastrofami.

Po szóste: przedstawić całemu społeczeństwu rzeczywisty stan gospodarki i program przezwyciężenia kryzysu połączony z głębokimi reformami strukturalnymi.

Po siódme: zapewnić społeczeństwu podmiotowość w rozstrzyganiu spraw najważniejszych m.in. poprzez uspołecznienie kierowania gospodarką i państwem.

Myślę, że nie będę odosobniony w poglądzie, że to uczyniwszy, potrafi nasza partia odzyskać konieczny autorytet dla sprawnego pokierowania losem Polaków. Gdy sama oczyszczona i odrodzona, uzyskawszy społeczne poparcie dla swego programu nie będzie musiała odwoływać się do uzasadnionych historycznych racji i konstytucyjnych uprawnień. Ów program nie może być narzucony, lecz składać się z tych wszystkich dążeń i potrzeb wyrażanych przez obywateli w tysiącach listów, uchwał i rezolucji napływających do wszystkich zjazdowych komisji. Klasa robotnicza musi odczytać w nim swoje własne myśli i pragnienia.

Czy wszystkie one staną się od jutra ciałem? — Zapewne nie. Ale partnerska rozmowa z jej reprezentantami może przynieść możliwe i realne uzgodnienia. Należy rozmawiać jak Polak z Polakiem. Wówczas jakiekolwiek antysocjalistyczne siły pozbawione zostaną swojego gruntu — niezadowolenia i niekonsekwencji.

CO SIĘ STAŁO W PARTII

BUNT SAKSOFONÓW

Andrzej Makowiecki

1

Dom Środowisk Twórczych przygarnął do swoich rozłożystych piersi niemal wszystkie bez wyjątku grupy zawodowe, zahaczające lewym albo prawym skrzydłem o tak zwaną sztukę. Mamy więc w tym archipelagu wspaniałości: literatów, filmowców, dziennikarzy, architektów, plastyków, fotografików, historykow i konserwatorów sztuki, zabrakło natomiast miejsca dla przedstawicieli świata muzycznego.

To znaczy: „spamowcy", ci z opery i filharmonii, jak najbardziej. Won natomiast z tymi, którzy grają w kawiarniach i knajpach, choćby robili to najlepiej. Dwadzieścia lat temu członek liczącego się w Polsce zespołu jazzowego do Spatifu mógł wejść wyłącznie za łapówkę albo kuchennymi drzwiami, albo też, oddajmy sprawiedliwość, za łaskawym poręczeniem pani Janiny Zgodzińskiej, która zawsze miała serce dla artystycznej biedoty. Ten stan rzeczy utrzymał się w zasadzie do dzisiaj, w związku z czym muzyk, nierzadko znakomity, wykształcony i dobrze ubrany młody człowiek, łyka gdzieś na boku łzy upokorzenia przeklinając swój garbaty los.

W końcu ubiegłego roku na ogólnopolskim zjeździe w Warszawie muzycy rozrywkowi, nawiasem mówiąc: jedyna jak dotąd grupa zawodowa nie objęta żadną podwyżką, postanowili powołać do życia swoje własne, niezależne stowarzyszenie. Biorąc pod uwagę, iż w samej Łodzi jest ich ponad tysiąc, a w kraju kilkanaście tysięcy, byłaby to organizacja niezwykle silna i rozległa, obejmująca swoim zasięgiem wszystkie rejony Polski.

Oczywiście — stowarzyszenie twórcze stawia przed kandydatami określone wymagania. Już dzisiaj wiadomo, że będą się oni rekrutować spośród tych dobrych i najlepszych, że pożądane będzie świadectwo Średniej Szkoły Muzycznej, a kto nie ma średniego wykształcenia, będzie musiał je zdobyć w trybie stacjonarnym, zaocznym, albo też na odpowiednich kursach, które w wypadku Łodzi są już przedmiotem rozważań tutejszej Rady Okręgowej Związku Muzyków Rozrywkowych. Z moich licznych ostatnio kontaktów ze środowiskiem muzycznym wynika, że wielu starszych, obarczonych licznymi obowiązkami instrumentalistów myśli i mówi o nowym, nie powołanym jeszcze stowarzyszeniu, niechętnie. Raz, że uważają się (często słusznie) za świetnych wykonawców muzyki rozrywkowej niezależnie od braku odpowiedniego świadectwa, dwa, że iść w wieku czterdziestu paru lat do szkoły, albo na kursy jest w ich położeniu przymusem tyle uwłaczającym co uciążliwym (wynika to z dalszego toku publikacji), trzy, że odwracając się do stowarzyszenia plecami, postawią się dobrowolnie w sytuacji niekorzystnej, jako że stowarzyszenie ma niemałe ambicje: ci, którzy się w nim znajdą, nie będą już upośledzeni (przynajmniej prawnie) w stosunku do członków innych związków artystycznych, przyjmie ich zapewne wspomniana na wstępie federacja stowarzyszeń twórczych, no a poza tym — jak najlepsi to najlepsi: będą mieli pierwszeństwo do pracy w renomowanych lokalach, do wyjazdów zagranicznych i kontraktów estradowych, a co za tym idzie, do wyższych zarobków. Stowarzyszenie będzie równocześnie agencją artystyczną, biurem pośrednictwa pracy, opiniodawcą, obrońcą i mecenasem całego środowiska.

2

Powyższa sprawa dyskutowana była podczas spotkania nowego Zarządu Rady Okręgowej ZMR w Łodzi z kierownikami i delegatami lokalnych orkiestr gastronomicznych. Stanowiło to zresztą ostatni punkt zebrania. Pierwszy dotyczył oczywiście relacji: muzyk — gastronomia.

Trochę danych:

W lokalach WSS „Społem" (kawiarniach i restauracjach) gra obecnie 86 muzyków (dwadzieścia kilka orkiestr). 17 muzyków zatrudniają łódzkie hotele, nie licząc „Orbisu", który jest w innej szufladzie i też trzyma na etatach dwa zespoły: pięcioosobowy w „Malinowej" i sześcioosobowy w kawiarni „Grand".

Ten zespół, który gra w „Grandzie", wcześniej występował w „Malinowej". Nazywa się „Dominanta" i jest naprawdę bardzo dobrym zespołem, ale zarówno „Orbis" jak i gastronomia nigdy nie przywiązywały specjalnej wagi do tego, jak gra orkiestra. Sznycel, wóda, szybki kelner i ładna kelnerka, oto jest wartość sama w sobie, opłacalna, muzyk, natomiast traktowany był zawsze jako zło konieczne. Musi brzęczeć, niech brzęczy, byle tylko zginął pokornie kark przed chlebodawcą, byle zrozumiał, że w tym całym interesie jest piątym kołem u wozu.

Za zgodą kierownictwa „Malinowej", ale bez wiedzy dyrektora Łosia, „Dominanta" zagrała ludziom na weselu, wykorzystując wolny od pracy dzień. Dyrektor Łoś poczuł się dotknięty na honorze i żeby pokazać, kto tu właściwie rządzi wyrzucił cały zespół na bruk, dyscyplinarnie, podpierając się argumentem, że muzycy nie tylko dopuścili się samowoli, ale w dodatku nadużyli środków dopingujących, czyli wódki. „Dominanta" poczuła się straszliwie skrzywdzona, nie było przecież żadnej samowoli i żadnego pijaństwa; poza tym: zwolnienie dyscyplinarne ważyło na ich opinii, mroczyło przyszłość, zabierało im automatycznie prawo do „trzynastki" oraz innych dodatków i profitów, nie mówiąc już o przerwanej ciągłości pracy. Skierowali więc skargę do Związku Muzyków, a ten z kolei przekazał ją Sądowi Pracy. Wyrokiem tego ostatniego „Dominanta" wróciła do „Orbisu" na okres ustawowego, trzymiesięcznego wymówienia, oczyszczona od zarzutów. Tyle, że nie gra już w „Malinowej" a w „Grandzie" i że musi rozglądać się za nowym kontraktem.

„Orbis" zawsze był przedsiębiorstwem panów. W „Orbisie" panem jest nawet szatniarz, windziarz i kuzyn babki toaletowej. „Orbis" był jedyną zainteresowaną instytucją, która zbojkotowała zaproszenie na spotkanie z nowym Zarządem Związku Muzyków; trudno przecież, aby panowie siedzieli przy jednym stole z muzykami, gastronomikami, estradowcami i pospolitymi hotelarzami, którzy zaproszenie przyjęli.

Prawdziwy dramat muzyków zaczyna się dopiero w pozahotelowych restauracjach i kawiarniach, które rządzą się wyłącznie prawem zysku.

Po pierwsze — wieczna troska o sprzęt: organy, wzmacniacze, mikrofony, perkusje, będące prywatną własnością muzyka i stanowiące najczęściej jedyny realny dorobek jego życia. W samych tylko lokalach WSS „Społem" jest tego sprzętu za sześć milionów złotych. W czasie dancingu, wtedy, kiedy brak bariery między estradą a pijaną, roztańczoną widownią, sprzęt ten może być, i bywa, uszkodzony, ktoś przewróci się na stojak z saksofonem, ktoś wyrżnie łbem w kolumnę głośnikową... Ale to jeszcze pół biedy. Otóż nie wszyscy wiedzą, iż lokale gastronomiczne bardzo często są obiektem nocnych włamań. Nieraz, jak podczas strajków, w sierpniu ubiegłego roku, ginie tylko wódka. Ale nieraz są to również napady zaplanowane i przemyślane. Przykładem może tutaj być „Lajkonik" na Rzgowskiej. W ostatnich latach — sześć włamań. Jedno z nich wymierzone było właśnie przeciwko pokojowi, gdzie muzycy przechowują instrumenty. Ponieważ drzwi nie puściły, a otwarte były inne drzwi, za którymi kryła się kasa pancerna, rabusie urwali „tylko" muzykom z estrady gruby, trzyżyłowy kabel, który posłużył, podłożony pod spód do przetaszczenia kasy w pobliże światła, które płonęło nad bufetem nie budząc niczyich podejrzeń. Z rozprutej kasy wyciągnęli dwadzieścia parę tysięcy złotych i uciekli, do dziś nikt ich nie złapał.

Na marginesie: w lokalach łódzkich codziennie ginie kilkadziesiąt damskich torebek, potem odnajdują się (podłogi w toaletach są nimi zasłane), tylko że ważą już trochę mniej, pozbawione tego, co istotne: gotówki. Złodzieje weszli, pobawili się, wypili, ukradli i wyszli. Co na to portierzy, zwani wykidajłami? Powinni chyba mieć jaką taką orientację w mozaice przewijających się typów. Ale portier to też nędzna i niewdzięczna praca. Ostatni, którego najęto do „Lajkonika" za 1200 złotych miesięcznie, pracował tylko jeden dzień i został tak ciężko pobity, że trafił do szpitala. Było to przed paroma tygodniami, w połowie stycznia 1981 roku.

W Polsce nie ma czegoś takiego, jak amortyzacja, czyli nie istnieje dodatek pieniężny za eksploatację własnego, zużywającego się sprzętu. Nikt również tego sprzętu nie pilnuje w nocy, kiedy orkiestry kończą pracę. A ta praca nie przynosi znowu takich kokosów. Przeciętna pensja muzyka łódzkiego (bez napiwków, zwanych w gwarze „bokami") wynosi 4000 złotych. No, ale za to nikt nie zna tak życia jak muzycy.

„Kaskada" jest ulubionym lokalem studentów arabskich. Zapewne właśnie tu, w towarzystwie Polek, uczą się z zapałem języka. Ale nie tylko. Kiedyś Polka odmówiła Arabowi, który prosił ją na parkiet. Arab od razu dał w zęby chłopakowi tej dziewczyny. Wybuchła bójka, w której wzięło udział piętnaście osób: z jednej strony Arabowie, którzy podobijali denka z butelek — z drugiej strony rzucający w nich krzesłami Polacy. Była również trzecia, neutralna strona — muzycy, obserwujący z przerażeniem rozwój wydarzeń i modlący się o swój drogi, zagraniczny saksofon czy perkusję.

I tak jest zawsze. Wybucha bójka, a oni albo strzegą sprzętu, albo też, sprowokowani, sami wchodzą z pięściami do akcji. Chyba nie bez przyczyny muzycy występujący w obskurnych, peryferyjnych tancbudach są tak rosłymi i zdeterminowanymi mężczyznami, tworzącymi, jak mówią o sobie z uśmiechem, silne grupy szybkiego reagowania.

3

— Warunki, w jakich gramy, są straszne — mówią. **I to nawet w tych najlepszych, markowych restauracjach śródmieścia.** Pełno dymu, duszno, żadnej wentylacji, zaplecze sanitarne takie, że robi się człowiekowi mdło. „Casanova" to niby lokal pierwszej kategorii, ale nie zmienia to faktu, że w kuchni, w zlewach pełzają karaluchy. Niedawno, w grudniu 1980 roku, naszych kolegów z „Casanovy" uraczono taką kolacją, że wszyscy się pozatruwali: bóle głowy, zimne poty, torsje. Jeden z nich trafił wówczas do kliniki.

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

POŻAR BEZ OGNIA

Pamiętamy: miało to miejsce w nocy z 31 października na 1 listopada ubiegłego roku, zginęło 53 chorych ludzi. Pożar wybuchł w jednym z pawilonów szpitala psychiatrycznego w Górnej Grupie. Wiadomość o tym tragicznym wydarzeniu wstrząsnęła całym społeczeństwem. Jest to jedna z naszych świeżych ran, których los nam ostatnio nie szczędzi. Oby nie było ich więcej...

I właśnie dlatego postanowiłem odwiedzić nasz łódzki szpital psychiatryczny im. dr Józefa Babińskiego, przy ulicy Aleksandrowskiej 159. Bo (jak stwierdzono w jednej z relacji prasowych o pożarze w Górnej Grupie) podobna tragedia mogła i może wydarzyć się wszędzie, a już na pewna w każdym innym szpitalu psychiatrycznym w Polsce, bowiem podpalaczem może być każdy chory, któremu nikt z personelu nie jest władny wytłumaczyć, że nie wolno palić papierosów w sali, a tym bardziej podczas leżenia w łóżku.

Komórka bhp mieści się w budynku dyrekcji Specjalistycznego Psychiatrycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej. Szef tej komórki, nie jest zaskoczony odwiedzinami człowieka z prasy. Czyżby tu było wszystko w porządku? No cóż, od pożaru w Górnej Grupie minęły już dobre dwa miesiące, był więc czas na zrobienie porządku, uzupełnienie ewentualnych zaniedbań. Na pewno słusznie przewidziano, że szpitale psychiatryczne będą teraz brane pod lupę. I rzeczywiście: instrukcje alarmowe na wypadek pożaru, strzałki wskazujące kierunki do wyjść ewakuacyjnych, odpowiednie tablice informacyjne są nowe. Zmieniono je ,gdyż na starych instrukcjach alarmowych były nieaktualne już dzisiaj numery telefonów. Wszystkie pawilony jednopiętrowe mają po dwa wyjścia ewakuacyjne oprócz VII, przeznaczonego od dawna do remontu. Pytam o materace, czy są te same, które w Górnej Grupie były prawdopodobnie przyczyną zaczadzenia pacjentów (dlatego między innymi niezdolnych do ratowania się przed ogniem). Jak pamiętamy, te materace z poliuretanowej gąbki są łatwopalne i wydzielają silne środki trujące, które przy większym stężeniu w ciągu kilkunastu minut mogą spowodować śmierć człowieka.

— *Niestety tak* — odpowiada szef bhp, Edward Ludwiczak. — *Są tu te same materace i muszę panu powiedzieć, że spędzają mi teraz sen z powiek. Myślę o ich wymianie, mam zamiar rozmawiać o tym z kim trzeba, ale to oczywiście nie da się zrobić z dnia na dzień.*

— *A jeśli jutro wybuchnie tu pożar?*

— *Odpukajmy* — mówi szef bhp, i odpukuje. — *Na szczęście u nas, w przeciwieństwie do Górnej Grupy, nie ma krat w oknach. Są tylko na owej nieszczęsnej „siódemce" i na jednym z pawilonów Kliniki Akademii Medycznej.*

Chcę obejrzeć wnętrza wszystkich pawilonów, by ujrzeć na własne oczy czy rzeczywiście instrukcje alarmowe na wypadek pożaru wiszą gdzie trzeba, czy są oznakowania wskazujące drogę ku wyjściom ewakuacyjnym. Pan Ludwiczak zakłada palto i mówi krótko: „Idziemy".

Zachodzimy najpierw do pawilonu, gdzie są najcięższe stany. Pawilon jest przepełniony, większość chorych zgrupowała się na korytarzu, tylko niektórzy pozostają w salach. Zerkając w głąb sal, prawie w każdej dostrzegam chorych, którzy leżąc na łóżkach, palą papierosy. Niektórzy z nich nie stosują się podobno do żadnych zaleceń, trudno się z nimi porozumieć. Przemierzamy drogę, którą wskazują strzałki i dochodzimy do wyjścia ewakuacyjnego. A więc wszystko jest dobrze, oprócz jednej rzeczy. Nigdzie, w żadnym oddziale nie ma choćby najprostszych systemów alarmowych. Prawdą jest jednak to, że ich konieczność jest tutaj stale dyskutowana i zdania są podzielone.

Jestem na owym nieszczęsnym oddziale VII — odwykowym. Wnętrza są ponure, przypominają pomieszczenia więzienne. Rozmawiam z z-cą ordynatora dr Andrzejem Skulimowskim:

— Jest to budynek o fatalnym stanie technicznym. Trzy pomieszczenia mamy wyłączone z uwagi na chwiejące się stropy. Wyposażenie nie było tu wymieniane od lat, urządzenia sanitarne są w opłakanym stanie. Poza tym wilgoć, zacieki... Czekamy na remont, tylko jak na razie nie mamy co zrobić z pacjentami, a jest tu 45 łóżek z możliwością dostawienia do 50. Obsługujemy trzy województwa: łódzkie, piotrkowskie i skierniewickie. Można zatem powiedzieć, że mamy 45 łóżek na 1,5 miliona ludności. Przyjmujemy wyłącznie mężczyzn. Nasi pacjenci, to głównie zmuszeni do leczenia się ludzie — po postanowieniu Sądu Rejonowego. U tych ludzi trudno jest wytworzyć świadomą postawę abstynencyjną, co w przypadku tego leczenia jest sprawą naczelną. Alkoholizm, jako stan uzależnienia, rodzi nastawienie egocentryczne, z którym trudno walczyć w warunkach szpitalnych, będących rodzajem kary. Dlatego lecznictwo odwykowe odstrasza lekarzy psychiatrów. Na tym oddziale powinno być o dwóch lekarzy psychiatrów więcej, przydałby się jeszcze jeden przynajmniej psycholog, socjolog także. I oczywiście więcej powinno być pielęgniarek i salowych.

Dlaczego tak jest? — pytam dyrektora technicznego.

— *Szpital* — mówi Sabina Pietrzak — *przy obecnej powierzchni powinien mieć 700 łóżek, a w rzeczywistości jest zawsze więcej, bo okresami dochodzi do maksymalnej ilości — 1250. Sam pan rozumie, że zagęszczenie nie sprzyja remontom. Powstały niedawno oddział psychiatryczny w Zgierzu, ma nas nieco odciążyć i będzie okazja do wyremontowania oddziału VII.*

— *A czy nie brakuje na to funduszów?*

— *Absolutnie nie. Nasz budżet za rok 1980 wynosi ok. 112 mln. Do 7 grudnia wydaliśmy 96 mln. Nakłady na remonty bieżące i kapitalne w latach 1974—1980 wyniosły 56 milionów złotych, tzn. rocznie od 6 do 12 milionów. Musi pan jednak wiedzieć, że jako Zespół Opieki Zdrowotnej mamy, oprócz szpitala, który jest naszą bazą podstawową, nadzór i pieczę nad oddziałami i poradniami wchodzącymi w skład lecznictwa otwartego. Uruchomiliśmy między innymi oddział w Głownie, szereg naszych placówek wymagało i wymaga remontów, robót adaptacyjnych. A to są szalone problemy. Nęka nas przede wszystkim brak wykonawców. Robi się więc tylko to, co jest możliwe. A takim naszym największym utrapieniem jest przepompownia, która nieustannie grozi zalaniem szpitala, przed czym tu wszyscy drżymy. Ona przede wszystkim wymaga remontu, ale aby był on w ogóle możliwy, musielibyśmy najpierw wybudować drugą przepompownię, więc jest to błędne koło. Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego nie chce od nas przejąć tej przepompowni. Prezydent miasta ma podjąć w tej sprawie ostateczną decyzję, na co z niecierpliwością czekamy.*

Po tej rozmowie pomyślałem, że nie mam tu już nic do roboty, najwyżej zająć się sprawami dotyczącymi samej psychiatrii. Np. sprawami kadrowymi, bo jeśli na wszystkich oddziałach jest taki stan, jak na VII, to na pewno nie jest tu dobrze. W tej sytuacji trudno uwierzyć, by lekarz mógł właściwie zająć się każdym pacjentem.

Szukam więc naczelnego dyrektora ZOZ. W tej chwili panuje tu jednak bezkrólewie. Dr Irena Brzezińska, pełniąca przez ostatnie siedem lat obowiązki naczelnego dyrektora, złożyła właśnie rezygnację. Dlaczego? Pytam tu i ówdzie, ale odpowiedzi są bardzo enigmatyczne. Ludzie wolą nie mówić. Gdzieś tu pali się jednak, myślę sobie, ale jest to pożar bez ognia, choć mnie samemu robi się już gorąco.

Mimo wszystko udaje mi się coś niecoś dowiedzieć. Otóż chodzi tu głównie o samą strukturę ZOZ. Nie była dobra. Nie sprawdziła się. Uwzględniając jednowładztwo, wszelkie decyzje zapadały w zamkniętym gabinecie dyrektora, który nie musiał i nie liczył się ze zdaniem innych. Dlatego narastały konflikty. W tej strukturze najtrudniejszą sytuację miał lekarz. Gdyby bowiem naraził się dyrektorowi, musiałby wyjechać do innego województwa.

ZOZ ma pod swoim zarządem całokształt lecznictwa otwartego w Łodzi i województwie łódzkim. W jego skład wchodzi 5 poradni odwykowych, 12 zdrowia psychicznego (dla dzieci i dorosłych), 3 oddziały dzienne, 5 komisji społeczno-lekarskich, pracownia EEG, telefon zaufania, rehabilitacja, centralna kartoteka, rejestracja.

Było tu wiele powodów do niezadowolenia. Jednym z nich (kto wie, czy nie największym) była decyzja o przeniesieniu dyrekcji z terenu szpitala na ulicę Nowotki 54. Szpital to przecież największa grupa pracownicza SP ZOZ, dyrekcja powinna być tutaj, bo tu jest najwięcej roboty, najwięcej spraw. Dyrekcja nie uwzględniła tych uwag. Na terenie szpitala pozostały jedynie dwie komórki, także sprzeciwiające się decyzji o przeniesieniu dyrekcji — POP, PZPR i rada zakładowa ZZPSZiOS. Obecnie dyrekcja wróciła na teren szpitala. Nadszedł czas, w którym żądania większości musiały zostać spełnione.

Jaka jest druga strona medalu?

Struktura ZOZ umożliwiła rozwój lecznictwa otwartego w Łodzi i województwie łódzkim. Zresztą kierująca ZOZ dr Irena Brzezińska zawsze uważała, że hospitalizacja w placówkach zamkniętych jest nieprawidłowością w lecznictwie psychiatrycznym, a szpital psychiatryczny jest złem koniecznym. Trzeba też zaznaczyć, że gdy powstawał ZOZ, a było to w roku 1974, na terenie szpitala był tylko jeden oddział otwarty. W tej chwili otwarte są wszystkie poza dwoma. Ponadto, od momentu powstania ZOZ, na oddziałach znalazł się psycholog, personel lekarski wzrósł o 14 osób. Oczywiście nadal jest za mało psychiatrów. Rozwój lecznictwa otwartego utworzył też subrejony. Stało się zasadą, że ordynator oddziału jest jednocześnie kierownikiem poradni, i zatrudnieni u niego lekarze pracują także w poradniach. Byłoby więc dobrze, gdyby każdy subrejon obsługiwać mógł 10-osobowy zespół psychiatrów i psychologów. Obecne 50 proc. wyklucza psychoterapię z prawdziwego zdarzenia. W planach dalszego rozwoju lecznictwa otwartego zawarty jest pomysł roboczo nazwanej poradni kryzysowej, która byłaby jak gdyby edycją telefonu zaufania. W takiej

w stanie poważnym; chciał w pierwszej chwili skarżyć lokal, ale potem czegoś się przestraszył i odstąpił. Kto wie, czy nie miał racji. Jak Sanepid nie może sobie z gastronomią poradzić, nie upora się z tym żaden muzyk.

Nie trzeba zresztą walczyć z restauracją czy kawiarnią, aby znaleźć się na lodzie. W „Zarzewiance" (ul. Przybyszewskiego) zlikwidowano dancing, choć była to jedyna rozrywka w ogromnej, kilkudziesięciotysięcznej dzielnicy. W ten sposób cztery osoby zostały bez pracy. Również spośród czterech solistów przygrywających na pianinie w łódzkich kawiarniach pozostał już tylko jeden, w „Kurancie" na placu Wolności. Po co komu wiedeński walc przy kawie?

Bez względu na to, czy masz dobry rok czy chudy, zawsze nęczy cię myśl o przyszłości. Co będzie za tydzień, za miesiąc? Co zrobisz za dziesięć lat? Instrumenty drożeją, sprzęt staje się coraz bardziej skomplikowany i coraz cięższy, o tym, aby kupić go w sklepie, nie może być nawet mowy, a nie każdy wyjeżdża na Saksy za granicę. Zmienia się również bez przerwy repertuar — żeby utrzymać się na powierzchni, trzeba grać (i ćwiczyć) trudne światowe szlagiery, ale tych szlagierów (nut) nie drukują przecież polskie wydawnictwa..

Już lepiej chyba mają ci, co pracują w urzędach lub fabrykach a muzyka jest ich drugim zawodem — dorabiają sporadycznie, na weselach i zabawach, nie troszcząc się o przyszłość. Etatowy muzyk lokalowy zazdrości im tego spokoju, ba, czasem nawet jest wściekły. Ale owi „od wesel" też nie mają łatwego życia. Aby grać, muszą mieć normalną, zawodową legitymację muzyka, wystarczy, aby złapano jakiś zespół występujący bez uprawnień i od razu cała afera: bierze ich w obroty, i słusznie, nie tylko Zarząd Muzyków, ale również Wydział Finansowy; mogą posypać się domiary po 200—300 tysięcy.

Ostatnio trzy takie zespoły złapano. Wiele innych zgłosiło się do Zarządu ZMR z zamiarem zdobycia uprawnień. Może je zdobędą, ale przedtem ich członkowie, około pięćdziesięciu osób, będą musieli ukończyć specjalne kursy, zorganizowane przez związek. Tu zapewne czytelnikowi nasuwa się pytanie, co robią Szkoły Muzyczne. **Ano, bardzo wiele pięknych rzeczy, właściwie wszystko poza szkoleniem muzyków, przeznaczonych do uprawiania muzyki rozrywkowej. Stąd najlepszy absolwent Średniej Szkoły Muzycznej czy wyższej uczelni muzycznej, nie jest w stanie bez odpowiedniego doszkolenia (nazwijmy to: stażu) zagrać ze smakiem argetyńskie tango.**

Wróćmy jednak do gastronomii. Między tangiem a kotletem schabowym jest przepaść. Jak powiedział jeden z członków zarządu: trzymajmy się, panowie, jak najdalej od personelu. Kelner czy kierownik sali nie był i nie będzie nam bratem. Więc nie pijmy z nimi, nie pijmy w ogóle, aby nie dawać wrogowi argumentów. Zaczynajmy punktualnie pracę i nie róbmy dłuższych przerw niż zakłada to umowa.

Na sali, podnoszą się głosy sprzeciwu. Regulamin zakłada, że w ciągu każdej godziny grać 55 minut i tylko pięć minut odpoczywać. Nawet gdyby znalazł się zespół osiłków, gotów spełnić te drakońskie warunki, zaprotestowaliby od razu kelnerzy i szefowie lokalu. Dochód bierze się przecież z tego, że goście chlają i jedzą, a nie z tego, że brykają na parkiecie. Tak czy owak, ustawa jest korzystna dla gastronomii: stanowi znakomity pretekst, aby w każdej chwili pozbyć się niewygodnej orkiestry, która za dużo wie o takich czy innych nadużyciach.

O czym jeszcze mówili muzycy? O zbyt wysokich podatkach, o zamieszaniu związanym z wolnymi sobotami, za które i tak nigdy im nie płacono (niektórzy muzycy mają po trzy-cztery miesiące nie wykorzystanego urlopu i wcale im nie zależy, aby go wykorzystać, bo wiąże się to z dodatkową stratą), o stawkach za orkę w noc sylwestrową (od dwóch i pół do trzech tysięcy zamiast dotychczas dwóch), których kierownicy łódzkich knajp nie chcieli początkowo zaakceptować, grożąc natychmiastowym wyrzuceniem z pracy, o swoich chorobach, związanych z permanentnym przebywaniem w dymie, i z permanentnym niewyspaniem, o swoich warunkach mieszkaniowych (i znowu! muzyk jest jedynym z artystów, któremu nie przysługuje prawo do dodatkowej powierzchni mieszkaniowej), w domu nie wolno im zadąć ani w trąbkę, ani w saksofon, bo wściekają się sąsiedzi a nieraz również najbliższa rodzina.

Mówili również o konieczności przyjścia z pomocą starszym, nie grającym już kolegom. Może jakieś kwiatek z flaszką na urodziny, albo inny serdeczny gest? Mówili o tym, bowiem w większości są bardzo wrażliwi na cudzą krzywdę i cierpienie. Z pozoru — modnie ubrane zwaniaki, twardziele, którym podobnie jak milicjantom, taksówkarzom, kelnerom znane są trzewia ludzkiego bezprawia.

---

poradni nie byłoby pojęcia pacjent. Każdy, kto odczułby pilną potrzebę porozmawiania z lekarzem psychiatrą, psychologiem czy też prawnikiem, miałby zapewnioną anonimowość, nie musiałby się nawet przedstawiać. Taka poradnia nazywałaby się „Przyjaciel". Czy pomysł ten zostanie zrealizowany?

O nowej strukturze lecznictwa psychiatrycznego (i całego lecznictwa w Polsce) myślą dzisiaj wszyscy. Sprawa znalazła swoje miejsce w porozumieniu między krajowymi przedstawicielami NZSS „Solidarność", a zespołami reprezentującymi resorty zdrowia i opieki społecznej, oświaty i wychowania oraz kultury i sztuki. Porozumienie to zostało podpisane 17 listopada w Gdańsku. Jest o tym mowa w porozumieniu zawartym w dniu 16 grudnia 1980 roku pomiędzy Radą Krajową Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, a ministrem zdrowia i opieki społecznej. Na terenie szpitala nie ma człowieka, który by o tym nie myślał, nie miał na ten temat własnego zdania. Całość spraw dotyczących tego problemu pilotuje tutejsza „Solidarność", która i w swoim gronie powołała komisję mającą opracować odpowiednie wnioski, postulaty, nawet projekty. „Solidarność" stara się zresztą myśleć o wszystkim. Jest przerażona faktem, że na jednego pacjenta przypada tu 2,9 m kw. na 6 przewidzianych, co stwarza jeszcze gorszą sytuację niż w Górnej Grupie, bo tu jest o 0,5 m kw. mniej niż tam. Postuluje, aby leki (drogie!) dla chorych psychicznie były bezpłatne, ponieważ chorzy, mimo 30 proc. zniżki, płacą za nie w granicach 700 zł miesięcznie. Myśli o odpowiednim wyspecjalizowaniu nowych kadr lekarskich dla psychiatrii, o tym, jak zapobiec stałemu zmniejszaniu się liczby salowych i pielęgniarek, jak doprowadzić do sytuacji, w której wszystko będzie na swoim miejscu, a każdy człowiek zadowolony. Musi w tym celu zadbać o odrobienie wszelkich zaniedbań, wśród których naczelne miejsce zajmuje wybudowanie pawilonu psychosomatycznego, już od 9 lat figurującego w planach rozbudowy szpitala. Ponadto jest szereg problemów wymagających natychmiastowej interwencji. Choćby w sprawie zagospodarowania budynku przy ulicy Nowotki 54, który dyrekcja ZOZ zwolniła wracając na teren szpitala. We wszystkich poczynaniach wspierają ją „stare związki", współpraca układa się dobrze.

Trwa jednak pożar bez ognia.

Niektórzy już dzisiaj nie potrafią odpowiedzieć sobie na pytania, czy ZOZ, to rzeczywiście taka wielka pomyłka, czy rzeczywiście istnieje potrzeba opracowania i wdrożenia nowej struktury organizacyjnej, czy dobrze się stało, że dr Brzezińska złożyła rezygnację? Co trzeźwiejsi twierdzą, że wszelki optymizm nie będzie możliwy tak długo, jak długo nad szpitalem będzie ciążył upior regionu (województwa: łódzkie, piotrkowskie i skierniewickie). Bowiem nie rozwiąże problemu to, że w Zgierzu powstał nowy oddział psychiatryczny, że powstanie niebawem w Pabianicach, że (być może) powstanie również w Bełchatowie. Liczba ludności bezustannie wzrasta, rosną potrzeby, psychiatra jest dzisiaj potrzebny w zasadzie wszędzie. Gdyby wszystkie województwa ościenne zadbały o wybudowanie własnych ośrodków, gdyby powiększyła się liczba psychiatrów, gdyby nie brakowało pielęgniarek, salowych, gdyby oddziały psychiatryczne powstały przy każdym szpitalu ogólnym, gdyby...

Szpital im. dr Józefa Babińskiego w Łodzi ma już swoje bogate, prawie osiemdziesięcioletnie tradycje. Powstał w roku 1902. Na miano jego inicjatora i założyciela zasłużył sobie dr Karol Jonscher, ponieważ to on przekonał ówczesne Łódzkie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności o potrzebie wybudowania w okolicach miasta zakładu dla chorych psychicznie. Teren, na którym szpital powstał, był własnością niejakiego Kochańskiego, stąd wywodzi się wcześniejsza nazwa „Kochanówka". O historii, jakże interesującej, pisze dokładnie dr Tadeusz Wierzbicki, jeden z tutejszych ordynatorów, w pracy zatytułowanej „Dzieje Państwowego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie chorych im. Dr Med. Józefa Babińskiego w Łodzi (dawniej „Kochanówka")".

Dzisiaj szpital ten jest (nie jedynym) miejscem, którym zawładnął pożar bez ognia. Trzeba jednak pamiętać, że żywioł, jakikolwiek on byłby, pozostanie zawsze żywiołem. Oby nie było niepotrzebnych ofiar! Ci ludzie chcą przecież doprowadzić do sytuacji, w której „wszystko" będzie na swoim miejscu, a każdy człowiek będzie zadowolony".

mała ubojnia

Dalszy ciąg ze str. 1

i mięsa rosną koszty transportu. Takie bezmyślne operacje są nie tylko świadectwem nieszanowania ciężkiej pracy rolników, ale godzą także w interesy państwa, a przede wszystkim w interesy robotników, którzy otrzymują mniejsze dostawy mięsa i przetworów.

I chyba dobrze się stało, iż sprawą tą zajęli się wnikliwie członkowie MKZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej, których inicjatywę z pełną aprobatą przyjął resortowy wiceprezydent miasta Łodzi, Lech Krowiranda. Nawiązano rozmowy z ministrem przemysłu spożywczego i skupu oraz z Centralą Przemysłu Mięsnego i jeżeli dalsze działania będą przebiegać pomyślnie, to Łódź jako pierwsza w kraju wykorzysta w pełni rzeźnie w obrębie gmin, dzięki czemu rozładuje się trudną sytuację w „szczytach" skupu i uniknie wielu strat. Sprawa jest ważna, bo województwo miejskie małe, ale ma ponad milion ludzi do wyżywienia. Łódzkie zakłady mięsne nie nadążają, a na Rawę Mazowiecką nie ma co liczyć, bo Amerykanie zrobili tam wszystko na wysoki połysk, lecz z myślą o własnych żołądkach.

Przedstawiciele „Solidarności" i Urzędu Miasta zlustrowali kilka gmin, w których w dawnych latach znajdowały się ubojnie i masarnie. Okazało się, że WZSR posiada w Łodzi, Strykowie i Aleksandrowie punkty uboju zwierząt „z konieczności" (np. złamania kończyn) i uboju sanitarnego (chore zwierzęta zabijane w oddzielnych pomieszczeniach). Szybko dogadano się z prezesem GS w Strykowie. Będzie tam można uruchomić masarnię i ubojnię, łącznie z zapleczem chłodniczym. Dalej jednak nie poszło tak gładko. **WZSR doszedł do wniosku, że nie warto uruchamiać nowych zakładów, bo istniejące masarnie nie będą mogły wykorzystać pełnej mocy produkcyjnej. Poza tym decyzja zależy od samorządu WZSR i zgody prezesów w gminach. Spółdzielnie same muszą pokryć koszt inwestycji toteż ważny jest dla nich rachunek ekonomiczny. Muszą mieć zysk, a ten jest możliwy tylko wówczas, jeśli masarnie będą mieć pełne dostawy surowca.**

„Solidarność" i wiceprezydent stwierdzają zgodnie, iż istnieją budynki do zaadaptowania, a więc nie chodzi o wielkie inwestycje. Ich propozycje spotkały się z aplauzem prezesów i pełną aprobatą ze strony społeczeństwa. A w ogóle to nie chodzi wcale o duże zakłady, lecz głównie o punkty uboju zwierząt dla potrzeb producentów rolnych. Bo przybliżenie możliwości uboju gospodarczego w obecnej trudnej sytuacji jest sprawą niezmiernie istotną.

A więc jak to wszystko przedstawia się w terenie? Otóż, w Aleksandrowie zaledwie przed dziewięciu laty zbudowano masarnię. Teraz WZSR ma zamiar budować nową. Czy istniejąca jest zła lub za mała? Nie, przerabia nawet 1600 ton masy mięsnej. A mimo to WZSR wydał już zlecenie na sporządzenie dokumentacji nowego obiektu. Chodzi o to, że plan zagospodarowania przestrzennego przewiduje zburzenie masarni i postawienie w tym miejscu szkoły. **Ludzie, co wy wymyślacie w tych trudnych czasach? Czy ta szkoła musi stanąć akurat w tym miejscu? Czy jest sens burzyć i zamiast jednej prowadzić dwie inwestycje? Kto i komu udziela prawa do szastania pieniędzmi?**

W Białej, gm. Zgierz, dwanaście lat temu była rzeźnia. Później zrezygnowano z uboju i rozbudowano masarnię. Po to, żeby tusze zwierzęce dowozić z Łodzi, z ulicy Inżynierskiej. Należałoby więc zbudować obok masarni niewielką ubojnię. Urzędnicy mówią, że nie warto, bo akurat przez ten obiekt ma przebiegać trasa olimpijska. O ile mnie pamięć nie myli, to olimpiada odbyła się w Moskwie w ubiegłym roku. Trasa nie powstała, olimpiady w Moskwie długo nie będzie, a więc trasa jest niepotrzebna. I nad czym się tu zastanawiać?

Zaplanowano zbudować usługową ubojnię, obok masarni w Bukowcu. I zaraz w poprzek stanęły zakazy, nakazy. Sanepid, itd. Planiści z miejsca widzą w tym rzeźnię i aż się rwą do kosztorysu za dwadzieścia pięć tysięcy złotych. WZSR ocenia, że inwestycję będzie można ukończyć w 1983 roku, za sumę pięciu milionów.

Takie stawianie sprawy może każdego załamać. Wiem, że się mnie posądza o chłopomaństwo, tym niemniej powiem, co następuje: chłopów nie obchodzi rzeźnia, tylko cztery ściany i parę haków w suficie, żeby nie jeździć po dwadzieścia kilometrów do najbliższej ubojni. Powiem więcej: gdyby chłop dostał materiały oraz murarza i hydraulika do pomocy, to by taki obiekt, łącznie z kanalizacją i doprowadzeniem ciepłej i zimnej wody, zbudował w ciągu pół roku za pół miliona złotych.

Następnie mamy na tapecie Głowno, gdzie masarnię z ubojnią przewidziano na 1985 rok. W Głownie była kiedyś rzeźnia należąca do WSS „Społem", ale obiekt zdemontowano i przejęły go w użytkowanie zakłady „Lido". Budynek jest „zdrowy", nie wiem więc, czy konieczne jest absorbowanie fachowców, którzy po wielomiesięcznych badaniach mogliby wydać ekspertyzę, że obiekt nadaje się do adaptacji. Co jest lepsze: czekać cztery lata na masarnię z rzeźnią, których koszt pewnie oszacuje się na dziesięć milionów, czy też w ciągu kilku miesięcy zaadaptować budynek kosztem pół miliona? To jest niby proste, ale przed urzędnikami wyłania się straszny, niemal tragiczny galimatias biurokratyczny. Budynek jest własnością WSS „Społem". Zakłady „Lido" chętnie opuszczą obiekt. Ale jak go teraz przekazać nowemu użytkownikowi, czyli WZSR?

Obawy są chyba nieuzasadnione, bo eksperci „Solidarności" potrafią to załatwić.

W Konstantynowie dokonywano kiedyś uboju koni z całego byłego województwa łódzkiego. Działała rzeźnia miejska, ale że koni coraz mniej, a w dodatku obok rzeźni powstał ośrodek rekreacyjny, więc zlikwidowano rzeźnię, przerabiając ją na magazyny. Zostawiono natomiast bazę spędową i punkty skupu. Niezle pomyślane, co? A teraz się mówi, że wody nie ma do płukania ścierwa (jest za to basen kąpielowy), więc rzeźni być nie może. Szkoda tylko, że nikt nie chce zwrócić uwagi, iż oba obiekty znajdują się poza miastem i jeden drugiemu wcale nie zagraża. **Widocznie lepiej jest w okresie szczytu wozić zwierzęta ze spędu w Strykowie do bazy w Konstantynowie, stąd odsyłać je do uboju w Strykowie i przywozić mięso do Konstantynowa.**

W 1976 roku zamknięto rzeźnię w Ozorkowie. Piękny obiekt zamieniono na magazyny, należące do WSS „Społem". Wydaje się, że magazyn łatwo przenieść gdzie indziej, a w opuszczonym obiekcie można od zaraz uruchomić produkcję, do której był przeznaczony. Wszystko jest do zrobienia, byle tylko myśleć po nowemu, logicznie, samodzielnie, bez oglądania się na wytyczne i nieżyciowe przepisy.

Łódź ma być pierwsza, lecz problem ów dotyczy całego kraju. Tym bardziej, że są na mapie białe plamy, chociażby województwa na Ziemiach Odzyskanych, gdzie w ogóle nie ma zakładów mięsnych i skąd tysiące sztuk bydła i trzody przewozi się do ośrodków uprzemysłowionych, żeby potem część mięsa odsyłać tam, gdzie „urosło". Lokalizując ubojnie i masarnie w każdej gminie, załatwiamy trzy sprawy, ważne społecznie i gospodarczo. Podczas szczytu skupu można ubijać nadwyżki zwierząt i uzyskane mięso przeznaczać na przydział kartkowy dla danej gminy. Po drugie, wiadomo, że znajdą się liczni nabywcy, którzy będą chcieli kupować mięso i wędliny poza systemem kartkowym. Ubojnie w gminie pomogą rolnikom, którzy wywiązali się z kontraktacji, w zbyciu nadwyżek po odpowiedniej cenie i w dowolnym miejscu zbytu. Po trzecie wreszcie — oszczędzamy na transporcie, na paszy, bo przewożone lub przetrzymywane na skupie zwierzęta trzeba jeszcze karmić, oraz unikamy strat na wadze.

W tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę ludziom odpowiedzialnym na jeszcze jeden aspekt ekonomiczny. Jeżeli ubojnie i masarnie, to nie bez urządzeń chłodniczych. A ponadto dajmy zarobić ludziom, którzy mogą przysporzyć państwu dewiz. Chodzi mi o to, aby w pobliżu każdej ubojni znalazły się fermy lisów lub norek. Żeby krew i wszelkie odpady nie szły do ścieków.

I jeszcze jedna sprawa. Mimo masowej likwidacji, na wsiach ostały się jeszcze małe, prywatne masarnie, które utrzymują właściwe warunki sanitarne. Nic więc nie powinno stać na przeszkodzie, aby rolnicy mogli tam ubijać zwierzęta i robić wędliny. A czy właściciele tych masarni nie mogliby kupować świń bezpośrednio u chłopów? Dlaczego ci ludzie muszą ganiać po gminach i z trudem ściągać do siebie nadpsutą nieraz chabaninę? Myślę, że w obronie interesów tych rzemieślników winna wystąpić Izba Rzemieślnicza. Bo nasi niedawni decydenci popadli w ciężką chorobę, którą nazwałbym „prywatofobią". **Nie bójmy się prywatnych rzemieślników! Jeżeli zrobią coś w swoich warsztatach, to nie wywloką tego za granicę!** Czas skończyć z absurdami. Dla mnie szczytem głupoty i absurdu jest budowana w Krośnie licencyjna fabryka kłódek.

RYSZARD BINKOWSKI

JAN HUSZCZA

YETI

I znowu w ubiegłym tygodniu zgwałcono dwie dziewczyny, które traktorem-poduszkowcem pojechały do boru, by na przyczepy, zaopatrzone w płozy, naładować bierwion i przywieźć do osiedliska, bowiem tej zimy Zawora Duża była pozbawiona węgla. (Na trasport węgla i zimowego obuwia z okręgu napadło stado Yetich, z pogromu ocalały tylko samonadające i samoodbierające, ostatnia nowość techniczna, telewizory dla Jaśnie Przewodniczącego oraz dla przedstawicieli Pomniejszych Kompetencji).

Dziewczyny były jurne, narzekały raczej na straty materialne — podarte majtki, poszarpane podwiązki i rozgniecione kołpaki — niż na co innego. Prokurator, ulegając opinii publicznej Zawory Dużej, wszczął śledztwo, ale po dwóch dniach jeszcze raz wypisał na teczce z aktami to jedno słowo: „Yeti". Słowo zaopatrzyli w znamienny wykrzyknik, tedy i tę sprawę umorzono.

Coraz powszechniej utrwalała się wiara, że w okolicznych lasach i puszczach pojawiło się stado Yetich. Lasy były duże, niezbyt zwędrowane, niektóre wybujałe chojary rosły nad tajemniczymi pieczarami, wśród zwalistych głazów i skał licho wie kto mógł się ukrywać, pędząc nie znaną zaworzanom, a tak niepokojącą egzystencję.

Umacniał zaworzan w tej mierze sam Antoni Guzda, mężczyzna jak odyniec, który od roku kazał się nazywać Jaśnie Przewodniczącym, choć jego poprzednik, według niektórych rządził szczęśliwiej i za tamtych czasów jeszcze nikt nikogo nie tytułował.

Zaczęto przemyśliwać nad samoobroną, wprowadzono nocne dyżury, utkano misterne sieci ze sztucznego włókna. Latem w pobliżu osiedliska rozkładano na noc sieci w kolorze zielonej trawy, jesienią brązowe, a teraz, zimą, żeby nie były widoczne, białe. Jak dotąd jednak uwikłało się w te sieci parę wieprzków, dwa wilki i lis, a pewnego razu trzech pijanych organistów, wracających z chrzcin z Zawory Małej, w której władza należała do Jaśnie Brata Jaśnie Przewodniczącego.

O Yeti mówiono coraz więcej, różnie ich sobie wyobrażając, niekiedy nawet wpadano w panikę, gdyż życie stawało się uciążliwsze i uboższe. Wszędzie, nawet na ubikacjach, wisiały afisze, ostrzegające przed niesamowitymi małpoludami. Czasem za zagrodami z dzielnic północnych Zawory znajdowano w śniegu bobki, których nikt nie umiał przypisać żadnemu ze znanych dotąd zwierząt domowych lub leśnych. Miejscowi empirycy próbowali je nawet rozgryzać, ale były twarde, nie dało się dokładniej określić ich konsystencji. W celach doświadczalnych próbowano nimi karmić ptactwo domowe, jednak ptactwo po prostu zdychało, co jeszcze bardziej wzmagało ostrożność w stosunku do bobków, zaczęto je zakopywać głęboko w ziemi.

Wkrótce Yetiego zobaczył Zastępca Jaśnie Przewodniczącego, potem żona Zastępcy. Opowiedziała o tym w Lidze Postępowych Gospodyń, mówiła tak sugestywnie, że i dwie słuchaczki, niczym w Zawarze nie wyróżniające się, również natknęły się na Yetiego. W nocy wychodził z domu, w którym mieściła się kasa podatkowa zaworzan. Jak się nazajutrz okazało, pancerna kasa była otwarta, znikły z niej pieniądze i biżuteria, kasjer leżał skrępowany w pobliżu kaflowego pieca. Zajęto się cuceniem. Yeti bowiem zmusił najpierw nieszczęśliwego do wypicia litra wódki, kasjer zaś zazwyczaj tracił przytomność po dwóch ćwiartkach. Było to w lipcu, od dawna nie padały deszcze, więc na ścieżce nie zauważono żadnych śladów małpoluda. Trochę owych bobków o nie dającej się określić konsystencji, to było wszystko.

Jaśnie Przewodniczący zarządził obławę, sam dowodził siedmioma strażnikami. Po cichu dziwiono się, że obława polegała przede wszystkim na rewizjach u bogatych zaworzan, w domach i spichlerzach, ale głośno wypowiedział się na ten temat tylko niejaki Zarychta, który zresztą wkrótce wpadł do studni, znajdującej się na własnym podwórku, w taki oto niepochlebny dla siebie sposób kończąc życie. W czasie obławy Yeti, który widocznie ukrywał się w osiedlisku, zgwałcił znaną z urody Małgosię. Mało jej kto współczuł, kobiety czyniły nawet wyrzuty:

— Jaśnie Przewodniczącemu odmówiłaś, to za karę sam diabeł zabrał ci wianuszek...

Było prawdą, że Małgosia w swoim czasie zlekceważyła zalecanki Jaśnie Przewodniczącego, który, jeśli chodzi o stan cywilny, należał do kategorii wdowców.

Potem w ramach akcji przeciwko Yetim, ustalono etat dla Rejestratora Szkód, plaga bowiem wzmagała się, zaworzanie niemal z miesiąca na miesiąc biednieli, tracąc rezon i odwagę, szemrano tylko po cichu, wśród zaufanych, gdyż Yeti dysponowały podobno aparatami podsłuchowymi.

Właśnie przed tą zimą przedsięwzięto nadzwyczajne środki. Zabroniono wychodzenia z domów po dziesiątej wieczorem, po Zaworzu łazili wyłącznie strażnicy, ci zaś nieliczni, którzy zasługiwali na zaufanie Jaśnie Przewodniczącego, otrzymali nocne przepustki.

Sylwestra jednak postanowiono obchodzić uroczyście i w radosnym nastroju. Wydano instrukcję odnośnie najbardziej pożądanych przejawów i form radosnego nastroju. Wszystkim wolno było przez cała noc chodzić po Zaworzu i okolicy, przed siedzibą Jaśnie Przewodniczącego stały stoły z wódką, piwem i kapsułkami specjalnie spreparowanego na tę uroczystość bieskie, by przy wejściu w atmosferę co jakiś czas rozświetlały noc sylwestrową wspaniałymi rozbłyskami, przed którymi ustępowały dawne iluminacje.

Weselono się, pohukując i klaszcząc. Niektórzy pili ostrożnie, żeby nie stracić kontroli nad językiem, inni szybko przekraczali barierę przytomności, bowiem o zakąskę w Zaworzu od jakiegoś czasu było dosyć trudno.

Wśród beztroskich pijaków znalazł się i Waluś, zwany powszechnie Półgłówkiem. Było dobrze po północy, gdy Waluś, utytłany w śniegu, gdyż często wpadał w zaspy, zaczął krzyczeć:

— Yeti twoja mać, Jaśnie Przewodniczący! Yeti to ty i twoja klika!

Mimo iż wszyscy, nie wyłączając kobiet, mieli dobrze w głowach, natychmiast zaczęto daleko odbiegać od Walusia, żeby nie słyszeć bluźnierstwa.

Więc tylko z daleka widziano, jak do Walusia podszedł sam, zapewne wielce zgorszony, Jaśnie Przewodniczący. Zdziwiliby się, gdyby mogli usłyszeć, jak przyjaźnie odezwał się do wstawionego:

— Mylisz się, Waluś, ale nie szkodzi. Chodź, Waluś, wypijemy za naszą przyjaźń... — Jaśnie Przewodniczący wziął Walusia pod rękę i wprowadził kotu. Można było weselić się kosztem społecznym. Recytowano songi (siódmy punkt wspomnianej instrukcji), tańczono Twisty Pomyślności (dziesiąty punkt tejże instrukcji), przy pomocy odpowiednio skonstruowanych aparatów ściągano z Mlecznej Drogi małe ciała niego do najlepszej swojej izby, a zajmował ich aż pięć.

Pili dosyć długo w towarzystwie dwóch szwagrów Jaśnie Przewodniczącego. Potem Waluś, gdyż wszyscy wpadli w żartobliwy nastrój, dał się namówić do spłatania figla mieszkańcom osiedliska. Utytłano go w miodzie (Jaśnie Przewodniczący przyjmował miód od uboższych zaworzan zamiast podatków), a następnie oblepiono pierzem i zeschłymi badylami. Waluś — który wyglądał teraz na Kalibana z prowincjonalnej sceny — przez cały czas się śmiał, gdyż jako Półgłówek zawsze był skory do śmiechu. Prawie świtało, gdy starszy szwagier Jaśnie Przewodniczącego wyprowadził wciąż śmiejącego się Walusia na dwór, pociągnął go w pole, gdzie leżały owe sieci.

Po jakimś kwadransie rozległ się okrzyk, który błyskawicznie obiegł całą Zaworę Dużą. Alarmowały świstaki strażników, alarmowały również telefony: „Yeti w sieci, Yeti w sieci..."

Nawet ci, co zdążyli zasnąć, zerwali się na nogi. Wszystkim szumiała we łbach całonocna hulanka, znajdowali się więc na granicy snu i jawy.

Wokół miejsca, gdzie leżał, uwikłany w sieciach, zabity Waluś zrobiło się zbiegowisko. W zmasakrowanej twarzy zabitego niektórzy, co zachowali bystrzejsze oczy, rozpoznali rysy Walka, ale nikt się z tym nie zdradził. Ci, którzy rozpoznali „Walka, tym radośniej zaczęli wołać: „O jednego Yeti mniej, o jednego Yeti mniej!"

Jaśnie Przewodniczący uważnie wpatrywał się w oblicze zgromadzonych, szukając w nich oznak powątpiewania. Lustracja, której sprzyjało nabierające metnego blasku światło poranka wypadła na ogół pomyślnie. Tylko w najdalej stojącej grupce słaniała się, szlochając, matka Półgłówka. Ujrzawszy to Jaśnie Przewodniczący wysunął się przed swoją grupkę i donośnie zawołał:

— Powiedzcie nam, gaździno, Waluś to czy nie Waluś?

Gaździna, wciąż szlochając, ruszyła w stronę Jaśnie Przewodniczącego. Wszyscy zamarli, nagle ustąpiło otępienie i zmęczenie, w ciszy słyszało się skrzypienie śniegu pod stopami wezwanej, która zatrzymała się w połowie drogi do Jaśnie Przewodniczącego. Stała sama, kolisko bowiem znacznie rozszerzyło się, było dużą czarną plamą pośrodku bieli.

— No, powiedzcie, gaździno... — łagodnie głosem ponaglił Jaśnie Przewodniczący, robiąc jeszcze kilka kroków, by zmniejszyć odległości od starej. Gaździna całkiem uspokoiła się, spojrzała w oczy Jaśnie Przewodniczącego. W bladym świetle mogła dostrzec, że były sympatyczne, życzliwe, jakieś ojcowskie. Ale z tyłu za Przewodniczącym stali zabójcy, trzymając w rękach gumowe pałki, plastykowe kłonice, staroświeckie siekiery i tasaki. W ich spojrzeniach było coś z ciemnego błysku trzymanych narzędzi. Gdyby ruszyli na nią, a ich skupiona postawa wyrażała pragnienie ruchu, marzenie o odpowiednim sygnale, nie ocaliłby jej i sam Jaśnie Przewodniczący, o którego dobrej woli nie wątpiła.

— No, gaździno... — znowu w napiętej ciszy, zupełnej jak biel, dał się słyszeć głos miękki, niemal błagalny. — Waluś to czy nie Waluś?

— Yeti... — powiedziała kobieta zniżonym do szeptu głosem. Odwróciła się i zaczęła szukać grupki ludzi, z której, wyrwana pytaniem, poprzednio wyszła. Idąc mówiła znacznie głośniej jakby usiłując lepiej słyszeć samą siebie: — Waluś śpi w komorze, upił się jeszcze z wieczora. A ten tam, to Yeti...

— O! — zawołał Jaśnie Przewodniczący i głośno nakazał Głównemu Inżynierowi dodatkowo ściągnąć z Mlecznej Drogi kilka małych ciał niebieskich, by rozbłyski meteorów uświetniły pierwsze zwycięstwa obywateli Zawory Dużej.

Czekając na iluminację, pracowicie na nowo zsupływano potargane przez Yetiego sieci ze sztucznego włókna o kolorze, dostosowanym do śnieżnej bieli.

TADEUSZ GICGIER

Dziewiąta głowy nie zaprzęgła

Podszedłem z karafką do stryja, stryj droczył się chwilę, ale odwrócił kieliszek, który stał do góry dnem. Wróciłem na swoje miejsce, gwar wzmógł się, jedni przekrzykiwali drugich.

— Stoimy tak przed bramą fabryki, dwa pułki piechoty, po bokach ruscy oficerowie. A ta brać ruszyła hurmem w stronę bramy. Ja byłem chłop rosły, stałem pierwszy przy bramie, wszystko dobrze widziałem. Jeszcze teraz trzymam się prosto, niech pani patrzy...

Stryj stał nad stołem, zrobiło się nagle cicho.

— A ci idą i odpinają na piersiach kożuchy...

Stryj rozpiął samodziałową marynarkę, której obydwie klapy były gęsto upstrzone odznaczeniami.

— Nu, koli, brat! — krzyknął nad uchem swej sąsiadki.

Kiedy o piątej odezwał się dzwonek, wyszedłem z łazienki, nie wytarłszy nawet twarzy po goleniu. Wiedziałem, że stryj dzwoni. Stał w drzwiach w swym zimowym, miejscami wytartym, pokrytym czarnym suknem kożuchu, w którym zdawał się być jeszcze wyższy i jeszcze bardziej kościsty. Przypominał mi zawsze w tym kożuchu dziadka, miał z nim zresztą wiele wspólnych cech zewnętrznych natomiast wewnętrznie różnił się w sposób zasadniczy: dziadek był małomówny i mrukliwy, czego nie dałoby się powiedzieć o stryju. Nie wiem, co ich kiedyś poróżniło, dość że na skutek tego antagonizmu poznaliśmy stryja dopiero po śmierci dziadka. Być może, że stryj odczuwał coś w rodzaju wyrzutów sumienia z powodu tamtych niesnasek rodzinnych, w każdym razie często odwiedzał teraz rodzinę dziadka, mnie zaś w szczególności. Przywykłem do was — mawiał. — Jak ktoś się przyuczy, to śpi i mruczy.

Wprowadziłem stryja do pokoju i włączyłem telewizor, proponując, by obejrzał sobie kawałek programu. Stryj chętnie przystał na tę propozycję, zaraz jednak, przekrzykując głos spikera, zaczął opowiadać o swym zegarku. Nie przeszkadzało mu przy tym wcale, że wróciłem do łazienki.

— Widzisz, to jest mój pierwszy zegarek w życiu. Dostałem go od ojca, gdy brali mnie do ruskiego wojska w dziewięćset czwartym. Miałem wtedy dwadzieścia lat...

Wychyliłem nos z łazienki, stryj trzymał w ręku grubą, poczerniałą „cebulę", mocnym naciśnięciem kciuka otworzył kopertę. Zobaczyłem pożółkłą tarczę zegarka z rzymskimi cyframi i ozdobnymi wskazówkami. Wróciłem do golenia.

— Mam go już sześćdziesiąt lat, a był dopiero raz u zegarmistrza. Dziś go odebrałem. I wiesz, co powiedział zegarmistrz? — Stryj zaśmiał się. — Że będzie mi teraz służył aż do śmierci...

Stryj siedział na swym honorowym miejscu pośrodku stołu. Przez biesiadny gwar dolatywały mnie strzępki jego opowieści, kierowanej do młodej, krągłej brunetki, która mogłaby być wnuczką stryja. Chyba ta właśnie świadomość pomagała stryjowi, że zawsze na powitanie całował ją siarczyście w oba policzki. Teraz opowiadał jej szeroko o nadzwyczajnym wyróżnieniu, jakie go spotyka w Domu Rencistów. Znałem dobrze tę opowieść, słyszałem ją już wiele razy. Kierownik Domu Rencistów kupuje każdego rana dwie gazety, jedną dla siebie, a drugą dla stryja. Tę drugą kładzie zawsze w jadalni na stoliku, przy którym siada stryjek.

— Wszyscy wytrzeszczają oczy, a on podchodzi i kładzie tę gazetę przede mną...

Ułożyliśmy stryja do snu w moim pokoju. Nie było rady, stryj zasypiał już na krześle, choć gwar przy stole mógłby obudzić umarłego. Kiwał się przy tym jak kozak drzemiący na koniu. Porównanie o tyle trafne, że podchodził kiedyś nocą kozaka. Było to w dziewięćset piątym, po powrocie stryja z Charkowa do Łodzi.

— Dziewiąta głowy nie zaprzęta, jedenasta pora wychodzić do miasta — mruczał stryj pod nosem, gdy ubranego w piżamę prowadziłem go do tapczanu.

1965

EDWARD KOLBUS

zapisywał daty obsesyjnie długo
nie był nigdy w Nowym Jorku
czytywał Lechonia
Pavese mógł być jego ojcem
wynajmował pokoje

powołany nagle do milczenia
odszedł
jak większość
przedwcześnie
na nieumówione spotkanie

może z prawdą

PRZEZ KOGO

przez kogo
ta cisza
orlich gniazd
to melodyjne
pas
przed zagraniem
w kolor
purpurowo
ciemny

przez kogo
ta wiara
w to dzieło
otwarte
w ten czas
przymykania
oczu
furtek
drzwi
1976

POEZJA

z przeszczepu serca
z arytmii wiersza
z niewydolnego krążenia
z krwi kości
z jednego zdania
z kilku słów
z niemilczenia

POWRÓĆ DO NAS SŁOWO

jest
dzikiego gołębia
niepokoju
gmachem
w gnieździe ust
wyklute
z dusznego
milczenia

jest
a będzie
gdy wiatru
to nie zachichaniem
na ziemię
opadłym
w słodkim
znieczuleniu

póki co
zielone
w okowach
nadziei
wyklute
ma dotrzeć
w porę
odpowiednią

czemu więc tak często
błądzi po drodze

która nie prowadzi
którą za daleko

ANDRZEJ MARCINIAK

w małej kawiarni
popijam kawę
i przy stoliku
ćmię papierosa

a wokół ludzie
ludzie bez twarzy
szepczą o swoich
przegranych losach

smutek się rozsiadł
by przy bufecie
kroić cytryny
i parzyć kawę

a smutne życie
pisze rachunki
wydaje resztę
ze starych marzeń

jeszcze jeden papieros dogasa
w samotnej szklance zimna kawa
po głowie chodzą senne myśli
i sam już nie wiem sen czy jawa

widzę przyjazne bliskie twarze
jedne pogodne smutne drugie
i widzę oczy ciągle szare
w które tak patrzeć bardzo lubię

przeszłość nabrzmiewa wspomnieniami
natrętnie się do głowy tłoczy
dosyć już tego chcę zapomnieć
lecz ciągle widzę szare oczy

wszystko w porządku
nic się nie stało
to tylko jakby
coś przeszło obok
jakby coś pękło
jakby złamało
coś w głębi duszy
cicho załkało
wszystko w porządku
nic się nie stało

URODZONY „NA SZLEZYNGU"

Rozmowa z ZENONEM PŁOSZAJEM, rektorem PWSM w Łodzi.

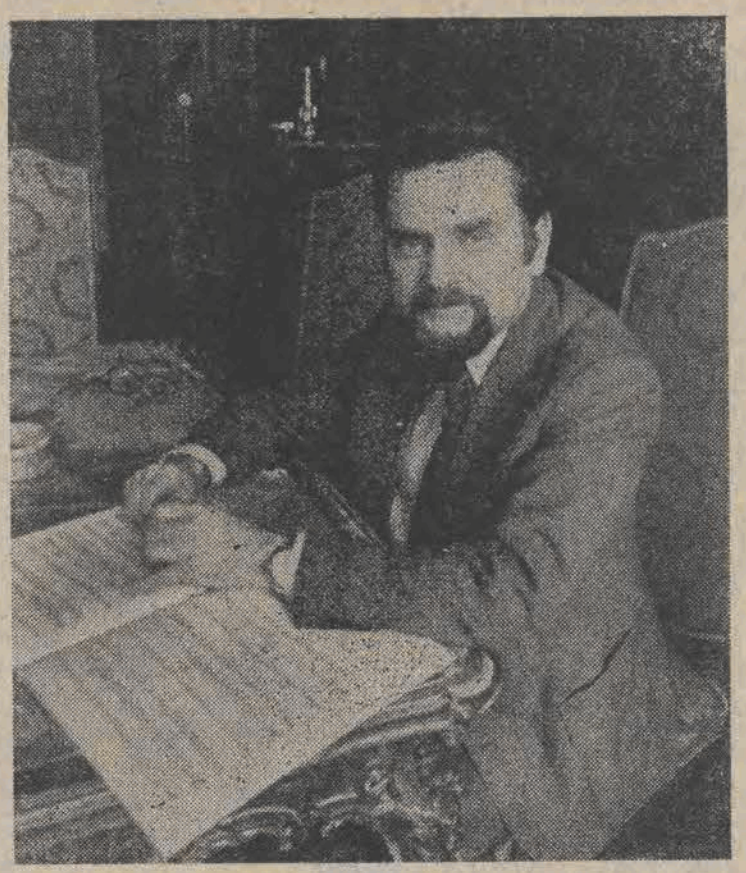

ZENON PŁOSZAJ: Muzyka jest sztuką wymagającą niezwykłej wrażliwości...

Foto: R. Łucyszyn

ZENON PŁOSZAJ — wybitny skrzypek — od wielu lat zajmuje się działalnością dydaktyczną. Od 1969 roku, a więc przez cztery z rzędu kadencje, pełni funkcję rektora łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, w której prowadzi także Katedrę Instrumentów Smyczkowych. Prawdziwie twórcza działalność pedagogiczna przyniosła Zenonowi Płoszajowi Nagrodę Miasta Łodzi.

— Serdecznie gratulujemy, Panie Rektorze!

— Dziękuję, bardzo dziękuję. Ta nagroda cieszy mnie szczególnie. Jest bowiem nagrodą miasta, w którym się urodziłem, które opuściłem tylko raz, z konieczności jaka stanęła przed tysiącami jego mieszkańców w czasie okupacji, i którego — gdy ten straszny czas wreszcie się skończył — nigdy nie chciałem zamienić na żadne inne, czując się jego synem nieodrodnym i nieodłącznym. Nie traktuję tej nagrody jako dowodu wdzięczności miasta za moją w nim pracę, widzę w niej potwierdzenie słuszności powziętej ongiś decyzji i nie ukrywam, że tak utwierdzony w racji, którą zawsze uważałem za jedyną, czuję ogromną satysfakcję. Jestem łodzianinem urodzonym „na Szlezyngu", tym niewielkim kwadracie widzewskich ulic, z którego jakże daleko dzieciom z prostych, robotniczych rodzin było wtedy do wielkomiejskiej Piotrkowskiej. Niewielu łodzian pamięta tę używaną tylko przez mieszkańców tego rejonu nazwę. We mnie wciąż brzmi ona dźwiękiem spędzonego tam dzieciństwa, domu, w którym ojciec — łódzki tkacz — w niedzielę grał „ze słuchu" na skrzypcach jakieś proste melodie i, w którym mnie zapatrzonemu i zasłuchanemu sam zrobił pierwsze skrzypce, bo rodziców nie było stać na kupno prawdziwego instrumentu, tak jak nie mogli sobie pozwolić na prawdziwą muzyczną edukację syna. Pierwsze (po ojcowskich) lekcje pobierałem u życzliwego sąsiada — kawiarnianego skrzypka, a następne u parafialnego organisty. Zarabiałem na te lekcje pracą w kancelarii, a pierwszym moim honorarium za dziecięcy występ w kawiarni, który zorganizował ten sąsiad, był wielki kawał tortu. Wie pani, pamiętam jego smak... Pamiętam też wysiedlenie z Łodzi. Zostały w niej moje skrzypce i nadzieje. Następne, gdy już wydawało mi się, że nigdy do nich nie wrócę, zobaczyłem na ścianie u podhalańskiego gazdy. Na Podhalu spędzałem okupację i ten gazda, początkowo niechętny moim prośbom o możliwość korzystania z jego instrumentu, ofiarował mi je w końcu i zdaje się, że niezły zrobiłem z nich użytek grając w podhalańskiej kapeli, sam już nauczony trochę przez owego kawiarnianego skrzypka i organistę z kościoła św. Anny. Te występy z góralską kapelą zaowocowały zresztą dosyć nieoczekiwanie. O chłopaku z „ceprów", który chwacko władał smyczkiem dowiedział się Ignacy Wolfstal, wybitny dyrygent i wiolonczelista, ukrywał się przed Niemcami u swojej mieszkającej na Podhalu szwagierki. Ileż mu zawdzięczam! Grywaliśmy razem i podczas wieczorów spędzonych z tym wspaniałym artystą i człowiekiem wiele się nauczyłem. Nie mogłem niestety zapobiec nieszczęściu, tragedii jego okrutnej śmierci, którą poniósł z rąk gestapowców. Po wojnie ze świadectwami z okupacyjnych kompletów wróciłem do Łodzi i wstąpiłem do konserwatorium. Na jakiś zresztą czas rozstałem się z nim wkrótce, ale — jak się okazało — tylko po to by ze skruchą wrócić w jego mury po dwóch latach studiowania chemii spożywczej na Politechnice Łódzkiej. Jej poprzedni rektor, prof. Serwiński gra na skrzypcach i dziś ja jestem chemikiem wśród skrzypków, a on najlepszym skrzypkiem na Politechnice. Przypominaliśmy sobie o tym na posiedzeniach kolegium rektorskiego.

W łódzkiej akademii muzycznej studiowałem w klasie profesora Mieczysława Szalewskiego. Dyplom ukończenia tej uczelni otrzymałem w 1955 roku.

— W tym samym roku odniósł Pan pierwszy poważny sukces artystyczny na konkursie skrzypcowym zorganizowanym z okazji Międzynarodowego Zlotu Młodzieży i Studentów w Warszawie.

— Konkursowi temu towarzyszyła szczególna, gorąca atmosfera tego wielkiego i znaczącego spotkania młodzieży z całego świata jej ogromnie radosnego, święta. Od tego roku i od tego konkursu zaczęło się moje koncertowanie na wielu estradach świata. Grałem m.in. dla słuchaczy NRD, Czechosłowacji, Związku Radzieckiego, Austrii i Japonii. Prowadziłem też kurs wykonawstwa muzyki polskiej w Akademii Muzycznej w Tokio. Wkrótce po tym pierwszym konkursie stanąłem do drugiego. Był nim konkurs imienia Henryka Wieniawskiego.

— Zdobył Pan na nim laury jednego z trojga zwycięzców. Po latach pierwsze miejsce na podium tego konkursu zajęła pańska uczennica Barbara Górzyńska. Jest Pan znakomitym pedagogiem. Studenci cenią wysoko nie tylko pańskie umiejętności wolinistyczne, ale także Panu tylko właściwe metody dydaktyczne.

— Miło mi to słyszeć. Muszę też twierdzić — co nie jest próbą „komplementowego rewanżu", że mamy niezwykle utalentowaną młodzież, która w stworzonych jej po wojnie warunkach, warunkach o jakich ja nie mogłem nawet marzyć, uczy się chętnie. Mam rzeczywiście bardzo zdolnych uczniów i cieszą mnie ich krajowe i międzynarodowe sukcesy. A metody dydaktyczne...? Proszę pani, to dosyć skomplikowana sprawa. Trudno omówić ją w jednym zdaniu. Muzyka jest sztuką wymagającą niezwykłej wrażliwości i w tej dziedzinie jedną z gwarancji powodzenia wszelkiej dydaktyki jest umiejętność rozbudzania i profilowania tej wrażliwości. Trzeba wyczuć indywidualność, uchwycić ją i narzucając tylko naprawdę niezbędne kanony wykonawcze, kanony dyscypliny twórczej, pielęgnować tę indywidualność, bo sztuka nie znosi jej braku i po prostu wyrzuca spod bram swego królestwa tych wszystkich, którzy indywidualności nie posiadają. Dla jej rozwinięcia między mną a studentem musi się zatem wytworzyć naturalny kontakt psychiczny, prawdziwa więź duchowa. Wspólnie — ja i student — tworzymy przyszłego artystę. Ten proces kreacyjny jest dla nas zawsze trudny. I za każdym razem, z każdym studentem muszę pracować inaczej, bo indywidualności to mają do siebie, że należąc do jednej rodziny bardzo się między sobą różnią. Pedagogika muzyczna jest bardzo trudna, ale mnie uczył jej zasad znakomity doprawdy znawca tego przedmiotu prof. Jankielewicz. Prowadzony przez niego kurs dydaktyki muzycznej ukończyłem w Moskwie podczas pobytu na przyznanym mi stypendium stażowym.

— Wracając jeszcze do spraw dydaktyki muzycznej i kształcenia indywidualności, jak godzi się indywidualność artysty-pedagoga z rozwijającą się, ale na pewno zawsze inną indywidualnością ucznia?

— Proszę pani jestem głęboko przekonany o słuszności znanego powiedzenia, które mówi, że zły to pedagog, który nie stara się by choć jeden z jego uczniów był lepszy od niego. „Moja" Basia Górzyńska jest ode mnie lepsza. Stwierdzam to z całą stanowczością i odpowiedzialnością.

— Od lat kieruje Pan łódzką Państwową Wyższą Szkołą Muzyczną. Co w pracy rektora daje największą satysfakcję? Co sprawia kłopoty?

— Satysfakcję sprawiają mi znakomite wyniki dydaktyczne pracowników naszej uczelni, cieszy mnie jej wysoki poziom. Cieszą pochwały i nagrody zbierane przez studentów. Co zaś sprawia największy kłopot? Sprawy remontowe, brak środków i mocy przerobowych, ot przyziemne, ale konieczne do rozwiązywania problemy. Funkcji rektora przypisano zresztą niejako automatycznie cały szereg najrozmaitszych obowiązków. Prezydiuję, opiniuję, uczestniczę, konsultuję... Rodzina rzadko widzi mnie w domu, córka miewała okresy tłumionej zazdrości o „tych twoich studentów".

— Skoro mówimy już o dodatkowych zajęciach, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników na fakt, że zasiada, Pan także w prezydium Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego działającej w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

— Ta funkcja pozwala mi aktywnie uczestniczyć w tworzeniu właściwego kształtu naszego szkolnictwa muzycznego. Z oczywistych przyczyn jest mi ono najbliższe. Muszę pani powiedzieć, że wkładam w tę pracę wiele serca. Największą jego część zagarnęła jednak dla siebie łódzka PWSM.

— Dostrzegła to Łódź, która formułę przyznanej Panu nagrody określiła następującymi słowami „za całokształt działalności dydaktycznej w dziedzinie kultury muzycznej". W tej właśnie działalności, w pracy zawodowej i życiu osobistym, życzymy Panu z okazji przynania Nagrody Miasta Łodzi powodzenia i wszelkiej pomyślności.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

MUZYKA

NIGDY NIE ŚPIEWAM NA „FULL"

Rozmowa z EWĄ PODLEŚ

EWA PODLES: O osiągnięciach można mówić u schyłku kariery, a ja dopiero zaczynam...

Foto: Z. Nasierowska

— Witając w Łodzi, cieszymy się na stałą pani współpracę z Teatrem Wielkim. Mogę chyba zdradzić, że po studiach zamierzała pani pracować w Teatrze Wielkim w Łodzi. Teraz wypada żałować, że jednak pani nie przyszła i zapytać — dlaczego?

— Będąc studentką V roku Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie, przyjechałam na przesłuchanie do Teatru Wielkiego w Łodzi. Dyrektor, Bogusław Madey, orzekł że nie może mnie przyjąć, ponieważ w najbliższym czasie nie przewiduje repertuaru z uwzględnieniem mojego głosu. Po dyplomie otrzymałam propozycję zaangażowania do tego samego teatru, którego dyrektorem był już Bohdan Wodiczko. Zapamiętałam jego słowa „Niech pani śpiewa, co chce, ale w moim teatrze musi pani być. Daję pani etat". Od czasu tej rozmowy minął rok. Po czym otrzymałam telegram z zapytaniem, dlaczego nie przyjeżdżam do Łodzi i nie śpiewam Jadwigi w „Strasznym dworze". Nikt nie zainteresował się, co ja przez ten rok robiłam i z czego żyłam, bo żadnej umowy nie dano mi do podpisu.

— Po dyplomie miała pani również problemy z zaangażowaniem do warszawskiego Teatru Wielkiego...

— Przyjęto mnie tam na staż po zaśpiewaniu gościnnie partii Rozyny w „Cyruliku Sewilskim". W tym samym czasie otrzymałam propozycję dyr. Wodiczko na etat do Łodzi. W Warszawie staż, w Łodzi etat, powstał problem — co wybrać? Wybrałam ten nieszczęsny etat w Łodzi i w efekcie przez rok nie pracowałam w żadnym z teatrów operowych. Etat w Warszawie otrzymałam po zdobyciu nagrody na Konkursie Wokalnym im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie.

— W tym czasie była już pani po sukcesach na międzynarodowych konkursach śpiewaczych w Atenach (II nagrodą) i Genewie (srebrny medal)...

— Tak, byłam również laureatką dwóch konkursów w Polsce, ale o nich i o mnie nic nie było słychać.

— Po nagrodzie moskiewskiej powitano panią w kraju jak objawienie w wokalistyce muzyki poważnej i rozpoczęło się lansowanie młodej śpiewaczki. A gdyby pani ten konkurs przegrała?

— Pewnie nie startowałabym już w następnych konkursach. W Polsce nadal nic się wokół mnie nie działo.

Konkurs moskiewski należy do najpoważniejszych i najtrudniejszych w świecie, nie bez racji nosi nazwę „konkursu konkursów". Zajęcie w nim nawet ostatniego miejsca w finale byłoby już wielkim osiągnięciem. Zdając sobie sprawę, że wszystko zależy od wyniku pierwszego przesłuchania, postanowiłam na wstępie zaśpiewać swoją popisową, koloraturową arię z „Semiramidy" Rossiniego. Dzięki wspaniałej atmosferze, szalonym emocjom, zainteresowaniu znakomitej publiczności, która potrafi okazać swój podziw i uznanie — dotrwałam do końca. Jury przyznało mi III nagrodę, co w kraju zostało powitane jako sensacja, gdyż byłam pierwszą Polką nagrodzoną w historii tego konkursu.

— Co konkursy dają młodym śpiewakom, poza sławą?

— Podczas konkursów miałam okazję zapoznać się z nowymi, ciekawymi utworami, z nowymi technikami wokalnymi, stylami, posłuchać, jak śpiewają inni, mieć skalę porównawczą w konfrontacji z międzynarodową obsadą śpiewaków i uświadomić sobie własne błędy. Nagrody konkursowe są namacalnymi dowodami osiągniętego wyniku i satysfakcją. Choć czasami III nagroda na takim konkursie jak w Moskwie daje więcej niż pierwsze nagrody na pięciu innych konkursach, łącznie z moją I nagrodą w Rio de Janeiro.

— Niedawno zapowiedziała pani wycofanie się z konkursowych szranków. Czyżby z obawy, że...

— Konkursy są ciągłym egzaminem, liczeniem na punkty, a towarzyszą im stany wysokich napięć psychicznych i tremy. I chociaż ponoć mam stalowe nerwy, to mam już dosyć śpiewania na oceny, dla popisu, w zawodach do nagrody. Śpiewam dużo i uważam się za profesjonalistkę, nie muszę wciąż udowadniać, że umiem to robić. Podobnie ma się rzecz z przesłuchaniami dla impresariów zagranicznych, do których z reguły nie staję. Uważam bowiem, że to impresariowie powinni jeździć na konkursy, słuchać śpiewaków i wybierać. Są również foldery, zdjęcia, rejestry nagród, wizytówki wokalistów. Wystarczy — moim zdaniem — zajrzeć do nich, a nie stale sprawdzać i przesłuchiwać. Najlepiej czuję się na estradzie, przed ludźmi, którzy przyszli mnie posłuchać, a nie kupić.

— Rozpoczęła pani pracę na scenach teatrów operowych w kraju. Z ilu pozycji składa się pani dotychczasowy repertuar operowy?

— W teatrze debiutowałam w 1975 roku — partią Dorabelli w „Così fan tutte" (Teatr Wielki w Warszawie). Śpiewałam Rozynę w „Cyruliku Sewilskim", Lolę w „Rycerskości wieśniaczej", tytułowego „Kopciuszka", Polinę w „Damie Pikowej". Gościnnie występuję w krakowskim Teatrze Muzycznym w roli Carmen, obecnie śpiewam Izabellę we „Włoszce w Algierze" w Łodzi.

— To niewiele...

— Są śpiewacy, którzy tylko jedną partią robią światową karierę. Mnie interesuje nie ilość, lecz jakość. Zresztą na mój lekki, koloraturowy mezzosopran nie ma zbyt wielkiego repertuaru operowego.

— Podobno pani bardzo oszczędza swój głos i markuje nawet na próbie generalnej. A na przedstawieniach?

— Ze względu na to, że bardzo dużo koncertuję, na próbach istotnie staram się markować. Na przedstawieniach śpiewam normalnie, choć nigdy na „full". Akceptuję bowiem całkowicie opinię wielkiego śpiewaka Battistiniego, że największą wadą wielu śpiewaków jest mania śpiewania na siłę, forsowania własnych możliwości głosowych, co w konsekwencji ogranicza możliwości interpretacyjne, pozbawia finezji a co gorsze, niszczy struny głosowe, zwłaszcza u głosów lekkich z natury. Battistini, dzięki swojej teorii, do lat 70 miał głos świeży i młody.

— Ale podobno we „Włoszce w Algierze" nie zawsze była pani dobrze słyszalna?

— Tak mogą twierdzić ludzie złośliwi, bądź nie znający specyfiki mojego głosu. Muszę wyjaśnić, że atutem mezzosopranu koloraturowego jest lekkość, finezja, duża skala, biegłość techniczna, a nie siła głosu. Poza tym liryczna partia Izabelli pisana jest w środkowym, a więc najmniej brzmiącym i nośnym rejestrze.

— Jaki rozdział w pani pracy zajmują koncerty estradowe, filharmoniczne?

— Traktuję je na równi z występami w teatrze operowym, choć częściej śpiewam na estradzie.

— Duży sukces odniosła pani w „Raju utraconym" i „Te Deum" Krzysztofa Pendereckiego. Były to pani pierwsze spotkania z muzyką współczesną?

— Tak, bardzo bałam się tych koncertów; nie wyobrażałam sobie, że będę mogła coś takiego zaśpiewać. Krzysztof Penderecki już dwa lata temu zaproponował mi udział w „Raju utraconym" ale bałam się tego podjąć. Dziś zaliczam te koncerty do najważniejszych wydarzeń artystycznych w mojej dotychczasowej pracy. Dobra muzyka — a ta jest cudowna, niezwykle ekspresyjna, mądra i namiętna, komunikatywna i żarliwa — choćby nie wiem jak trudna, nie sprawia kłopotu bo daje ogromnie dużo przyjemności. Po tournée we Włoszech będę śpiewała „Te Deum" w Filharmonii Narodowej — w polskim prawykonaniu dzieła Krzysztofa Pendereckiego.

— Prawdziwe kariery mierzy się u nas ilością zagranicznych kontraktów artysty. Jak pani to interpretuje?

— Ale ta ilość nie zawsze idzie w parze z jakością. Dla wielu nieważne jest, co się śpiewa, jak i z kim, ale ważne, że za granicą. Dla mnie, na przykład ważniejszy jest „Raj utracony" w Polsce, od występów zagranicznych. Może kiedyś były one atrakcją i świadczyły o poziomie wykonawcy. Dziś właściwie każdy może śpiewać za granicą. Miałam wiele propozycji, m.in. z Monachium, Düsseldorfu, Berlina i Bonn. Wspaniałe, pierwszoplanowe role. Nie przyjęłam ich, ponieważ uważam, że proponowane mi dramatyczne partie Verdiego i Wagnera nie są odpowiednie na mój głos. Nie za wszelką cenę! W kraju jest tak wiele wspaniałych możliwości, nie muszę wyjeżdżać. Poza tym uważam, że zdobycie sympatii i uznania u polskiej publiczności jest największym sukcesem.

— W wywiadzie dla „ITD" powiedziała pani: „Ja niczego jeszcze nie osiągnęłam. Wszystko jeszcze przede mną". Czy to kokieteria?

— Na pewno nie. Podtrzymuję to, co wtedy powiedziałam. O osiągnięciach można mówić u schyłku kariery, a ja dopiero zaczynam... Nie rozliczam jeszcze siebie z tego, co zrobiłam.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

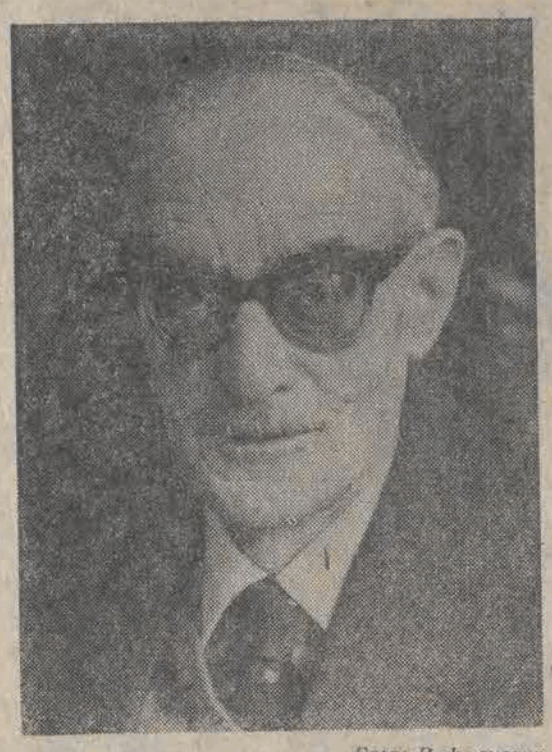

Foto: R. Łucyszyn

ROMAN WAJDOWICZ: „...stoimy dziś przed dwoma najistotniejszymi zagadnieniami: ustaleniem statutu uczelni i statutu Senatu oraz sprawami programu kształcenia".

— Panie rektorze, po burzliwych miesiącach, wypełnionych działaniami na rzecz odnowy uczelni, nastał czas normalizacji życia akademickiego. Czy pana zdaniem, spełnione zostały oczekiwania i w jakim kierunku pójdą działania nowego kierownictwa PWSFTviT, by plany i postulaty związane z ruchem odnowy znalazły swą pełną realizację?

— Jednym z głównych postulatów Komisji Odnowy Uczelni było dążenie do autonomii i samorządności. Wyraziło się ono między innymi poprzez ustalenie zasady wybieralności przez społeczność akademicką władz uczelni, to znaczy — rektora, Senatu, oraz władz wydziałowych. Te wybory mamy już za sobą. Istnieją jednak nadal pewne okoliczności utrudniające pracę szkoły, a wynikające ze specyficznej w chwili obecnej sytuacji uczelni wyższych w naszym kraju. Ustawa o szkolnictwie wyższym, obowiązująca również szkoły artystyczne, jest dziś właściwie obchodzona przez wszystkich, gdyż nowej jeszcze nie ma, a stara ogranicza wiele działań wynikających z wymogów czasu obecnego. Komisję Odnowy można więc nazwać awangardą wszystkich poczynań, gdyż parę miesięcy wcześniej podjęliśmy działania, decyzje i rozwiązania, które obecnie podejmuje szereg szkół wyższych. Ten fakt komplikuje naszą sytuację, ale jednocześnie ułatwia, bo jesteśmy niejako zwolnieni z wielu ograniczeń oraz nadzorów i możemy śmiało, choć w ramach rozsądku, przeprowadzać pewne reformy wewnątrz szkoły. Po wyborze mej osoby na rektora PWSFTviT i dalszych rozmowach prowadzonych w Ministerstwie Kultury i Sztuki, otrzymaliśmy wreszcie pismo akceptujące wszystkie nasze poczynania. Sprawy statutu szkoły i kompetencji Senatu uznał minister, aż do powstania nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, jako sprawy wewnątrzszkolne. To nam ułatwiło dalsze działania. Załatwiwszy sprawy strukturalno-personalne, stoimy dziś przed dwoma najistotniejszymi zagadnieniami: ustaleniem statutu uczelni i statutu Senatu oraz sprawami programu kształcenia. Dla załatwienia tych spraw zostaną powołane specjalne komisje. W skład Komisji Programowej wejdą przedstawiciele Senatu oraz inni pracownicy szkoły; pragniemy zaprosić do udziału w jej pracach także grono ekspertów spoza szkoły, przede wszystkim ze Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Prace nad nowym programem rozłożyliśmy na kilka etapów. W tej chwili wiodące wydziały szkoły przygotowują, przy współudziale studentów, własne koncepcje programowe, które wynikają głównie ze spraw wewnątrzwydziałowych, ale dotyczyć będą także całości szkoły. Te trzy programy będą przedmiotem dyskusji i decyzji Senackiej Komisji Programowej.

— Pozostaje pytanie, w jakim kierunku pójdą zmiany programowe.

— Nie są one jeszcze sprecyzowane. Liczymy, że program będący wynikiem zderzeń różnych przekonań i pomysłów, ukształtuje się już niedługo. Najwięcej dyskutowano dwie główne koncepcje. Pierwsza mówiła o układzie: mistrz—uczeń, druga, szersza, rysowała wizję Akademii Filmowej. Nic więcej jednak na ten temat nie mogę pani powiedzieć.

— Jak należy rozumieć oświadczenie Zarządu Stowarzyszenia Filmowców Polskich, negujące wyniki działań ruchu odnowy uczelni.

— Choć byłoby może wygodnie powstrzymać się od odpowiedzi, spróbujmy jednak rzecz wyjaśnić. Osobiście (a wraz ze mną i wielu innych pracowników szkoły) przyjąłem ten list jako odpowiedź daną dawnemu Komitetowi Ruchu Odnowy, którego wstępne inicjatywy kontynuowała później Komisja Odnowy Uczelni, w której pracach również i ja brałem udział. W przeciwnym bowiem razie treść tego oświadczenia byłaby niezrozumiała. Ów komitet powoływał się w swoim czasie na współpracę i poparcie SFP. Ja, jako członek Komisji Odnowy, a obecnie rektor szkoły, nie mogę odpowiedzieć sensownie na zarzut sformułowany przez Zarząd SFP, iż zbyt wiele czasu poświęcono sprawom strukturalno-personalnym szkoły, a zbyt mało programowym, i że nie wykorzystano oferty współpracy ze strony SFP. To wszystko były uwagi słuszne w czasie minionym, dziś te pretensje są dla mnie mniej zrozumiałe. Musieliśmy przejść przez wszystkie kolejne etapy poprzedzające okres programowy, przy którym przewidujemy, o czym była mowa, udział ekspertów ze strony stowarzyszenia.

— Czy pan rektor planuje zatrudnienie, jako wykładowców szkoły, twórców, którzy nie uczestniczyli dotąd w pracach dydaktycznych uczelni?

— Oczywiście. Z takimi propozycjami już się zwróciliśmy i zwracać się będziemy nadal. Na przykład, dla wyrównania krzywd i pewnych nieprzemyślanych posunięć poprzedniego, jednoosobowego kierownictwa szkoły, w wyniku których zostali zwolnieni niektórzy liczący się w ruchu filmowym pedagodzy, zostali oni już na powrót zaangażowani. I tak, pracę w szkole podjął m. in. Grzegorz Królikiewicz. W skład nowo wybranego Senatu weszli także członkowie SFP, na przykład Kazimierz Karabasz, Wojciech Has, Henryk Kluba, Kazimierz Konrad, Andrzej Trzos-Rastawiecki i inni. Przedstawicielstwo SFP we władzach szkoły jest zatem większe niżeli w latach poprzednich.

— Szkoła swą pracę i program opiera nie tylko na problemach twórczych i warsztatowych. Istnieje w tym programie grupa przedmiotów teoretycznych i historycznych. Wokół udziału przedmiotów ogólnohumanistycznych w procesie kształcenia studentów Szkoły Filmowej było zawsze bardzo wiele dyskusji i kontrowersji. Jak ta sprawa wygląda dziś?

— Widzieć ją trzeba następująco: ważną sprawą jest zachowanie proporcji pomiędzy przedmiotami ogólnohumanistycznymi — pomocniczymi a specjalistycznymi, czyli wiodącymi. Troską naszą jest jednak przede wszystkim metodyka nauczania. Tu pragniemy wprowadzić pewne novum. Nastąpią zmiany ich nazw, sposobu ich realizacji i egzekwowania. Dążymy do szerokiego kontaktu z ludźmi spoza szkoły, w miejsce 45-minutowych jednostek zajęć, wprowadzamy bloki programowe. Myślimy na przykład o całym dniu poświęconym zajęciom z filozofii, socjologii, literatury, teatru, itd. i prowadzonym przez wybitnych przedstawicieli tych dyscyplin. Wedle tego założenia pracujemy już w bieżącym roku akademickim, choć przyznać trzeba, że jeszcze niezupełnie sprawnie zajęcia te przebiegają. Będziemy dążyć do pełnego udoskonalenia ich formy.

Poważnej reorganizacji musi też ulec nasza komórka zajmująca się tymi przedmiotami, tzn. katedra przedmiotów teoretycznych. Dążyć ona winna do podkreślenia i zwiększenia ich atrakcyjności i poziomu nauczania.

PO BURZY

Rozmowa z doc. dr hab. ROMANEM WAJDOWICZEM rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej

— Ta atrakcyjność w każdego typu uczelni wiąże się ze sprawą autorytetów w nauce czy sztuce. Czy pan rektor przewiduje powrót do chlubnych tradycji szkoły, w której wykładali ongi wybitni przedstawiciele nauk humanistycznych?

— Biorąc pod uwagę moje zamiary, na pewno. Sprawa napotyka jednak wiele przeszkód związanych głównie z trudnościami przyjazdów do szkoły i brakiem czasu prominentów polskiej nauki i kultury. Marzyć zatem można jedynie o pewnych cyklach wykładów i sporadycznych spotkaniach. Liczę natomiast na szerszą niż dotąd współpracę z Uniwersytetem Łódzkim i wierzę, że od nowego roku akademickiego uda się tej współpracy nadać konkretne wymiary.

— Jak dotąd, porozumienie sprzed kilku lat, między PWSFTviT a Uniwersytetem Łódzkim, realizowało się głównie poprzez współpracę z Instytutem Teorii Literatury Teatru i Filmu, co zresztą zrozumiałe. Współpraca ta jednak także miała niepełny charakter. My (mówię to jako pracownik tego instytutu), biorąc pod uwagę dramatyczne warunki, w jakich przychodzi nam w instytucie realizować program kształcenia filmoznawców, korzystaliśmy z pomocy szkoły. Przejawiała się ona poprzez projekcje filmowe i zajęcia warsztatowe. Z naszej strony jedynie mgr Tadeusz Szczepański prowadzi w szkole wykłady z historii filmu. Czy fakt, iż w instytucie naszym skupione są trzy specjalizacje: literaturoznawstwo, teatrologia i filmoznawstwo, nie daje szans na znacznie szerszą współpracę?

— W lutym przewidujemy rozmowy poświęcone tym sprawom. Ze swej strony dodaję, że rozwinięcie tej współpracy ze względu na zbieżność zainteresowań i zadań dydaktycznych uważam za wszech miar potrzebną.

— Za kadencji rektora Kuszewskiego powołano w PWSFTviT Instytut Teorii i Historii Filmu. Czy pana zdaniem istniały merytoryczne przesłanki do jego powstania? Czy istniało zabezpieczenie w postaci kadry naukowej, czy lata działalności instytutu przyniosły wyniki w postaci zrealizowanych prac badawczych?

— Niesłychanie trudne pytanie. Nie znam motywacji dla której instytut ten został powołany, gdyż, jak wiadomo, poprzednie kierownictwo szkoły często nie konsultowało z ciałami kolegialnymi swych decyzji. Musiały jednak istnieć jakieś racje, skoro ministerstwo wyraziło zgodę na utworzenie tegoż instytutu. Dla mnie rzeczą niewątpliwą jest fakt, że pod względem potencjału naukowego, a więc kadrowym, instytut nie był przygotowany do podjęcia prac i badań. Uważam jednak, że w dalszym istnieniu szkoły, instytut taki byłby potrzebny. Trzeba jednak bardzo poważnie przemyśleć właśnie możliwości kadrowe, tryb i zakres działalności i badań, a także stosunek instytutu do istniejącej przecież katedry przedmiotów teoretycznych.

W chwili obecnej sprawa instytutu jest bardzo skomplikowana, gdyż jego dyrektor, czyli były rektor, Stanisław Kuszewski, otrzymał urlop naukowy do końca roku akademickiego. Podejmowanie jakichkolwiek decyzji bez jego udziału byłoby więc niewłaściwe. Oczywiście, Senat, jako najwyższa władza szkoły, wypowie się w tej sprawie i niewątpliwie podejmie jakąś decyzję, ale jakichś radykalnych zmian pod nieobecność dyrektora instytutu nie będzie chyba można podjąć. Jeśli zaś chodzi o prace naukowe przez instytut prowadzone, to wiem tylko tyle, że trwają prace nad Słownikiem Terminów Filmowych i Telewizyjnych. Przyznam jednak, że w nawale spraw problemem instytutu nie miałem możliwości jeszcze się zająć.

— Jak pan rektor ocenia fakt istnienia dwóch uczelni filmowych w Polsce. Czy jest społeczne zapotrzebowanie na tak liczną w sumie grupę kadr fachowych dla kinematografii i telewizji. Czy są szanse na współpracę obu uczelni, czy pozostaje sprawa konkurencji i to w gruncie rzeczy konkurencji niezdrowej...

— To także trudne pytanie. Należy rozdzielić dwie sprawy. Jedna związana jest z tokiem nauczania, a co zatem idzie — ewentualną współpracą obu placówek. Druga dotyczy efektów, czyli przyszłości absolwentów obu szkół. Jeśli chodzi o współpracę pomiędzy naszą szkołą a Wydziałem Radia i Telewizji w Katowicach, to możemy tu mówić o wymianie doświadczeń, pedagogów i etiud szkolnych. Na ten temat prowadzone są już rozmowy. Nie jest natomiast wyjaśniona sprawa przyszłości obecnych studentów. Nasza uczelnia, ze względu na sytuację w kinematografii, zmniejszała liczbę przyjęć, a w uczelni katowickiej — nabór na studia jest znacznie większy niż u nas. Czy znajdą oni pracę? Jakimi kryteriami kierowała się Telewizja Polska — sponsor tamtego wydziału — trudno mi odpowiedzieć. Podkreślić natomiast trzeba, że na razie 90 proc. pracowników twórczych TVP to nasi absolwenci.

— A wówczas, gdy uczelnię śląską zaczną opuszczać absolwenci którzy w swych dyplomach będą mieli wpisaną specjalność: realizator telewizyjny, czy wtedy nie zaistnieje potrzeba wyprowadzenia z nazwy szkoły łódzkiej członu: „Telewizyjna"?

— Takie tendencje w szkole naszej już były, ale doszliśmy do wniosku, że nieznana nam jest przyszłość szkoły katowickiej. Jeśli zaś chodzi o specjalność, to pamiętajmy, że nazwa wypisana w dyplomie nie świadczy jeszcze o człowieku. Jak będą przygotowani do wykonywania zawodu absolwenci Wydziału Radia i Telewizji — nie wiem. Wiem natomiast, jakie jest przygotowanie naszych absolwentów. Każda odpowiedź byłaby zatem przedwczesna.

— Czy istnienie Wydziału Radia i Telewizji w Katowicach nie prowadzi do rozproszenia bazy technicznej, tak niezbędnej do kształcenia kadr dla kinematografii i telewizji?

— Tę bazę w naszej szkole zabezpiecza przede wszystkim kinematografia. Sponsorem Wydziału RTV w Katowicach jest natomiast Komitet d/s Radia i Telewizji, a on — w przeciwieństwie do naszego patrona — rozporządzał, jak dotąd, olbrzymimi możliwościami materialnymi. Stąd zaplecze techniczne wydziału w Katowicach jest znakomite, a nasze, niestety, dużo gorsze. Warto tu pamiętać, że to my prowadziliśmy i prowadzimy nadal studia zaoczne dla zatrudnionych już w TVP pracowników. Przed laty otrzymaliśmy od Telewizji Polskiej nieco sprzętu, który wyposaża nasze studio na Marysinie, lecz od 1973 roku, od naczelnych władz TVP, nie otrzymujemy już żadnej pomocy. Współpracujemy jedynie z Łódzkim Ośrodkiem Telewizyjnym. W najbliższym czasie wybieramy się do Komitetu d/s Radia i Telewizji w celu omówienia dalszej współpracy. Środki i sprzęt, jakie otrzymujemy od kinematografii nie zaspokajają naszych potrzeb. Poziom i sprawność techniczna sprzętu filmowego szkoły z roku na rok się pogarsza. Mamy także poważne kłopoty lokalowe. W ich rozwiązaniu liczymy jednak na rychłą pomoc władz miasta.

— Dziękując za rozmowę, składam na ręce pana rektora życzenia, by troska pracowników szkoły o nowy jej kształt znalazła swą najszlachetniejszą realizację.

Rozmawiała:
EWA NURCZYŃSKA

CO MYŚLĄ STUDENCI

Obecna sytuacja w PWSFTviT nie jest wynikiem października, grudnia czy nawet sierpnia. Jest logiczną konsekwencją sytuacji społeczno-politycznej, zmian w szkolnictwie wyższym, polityki kulturalnej w ciągu ostatnich kilku lat i kilku miesięcy.

Jaka jest ta sytuacja? Myślę, że charakteryzuje się wieloma pozytywnymi cechami: wzmożoną aktywnością studentów i pracowników dydaktycznych, myśleniem kategoriami całej szkoły, a nie z pozycji interesów wydziału czy roku, procesami integracyjnymi wśród studentów. Nie można się oczywiście ustrzec błędów, pomyłek, ale ważne jest to, że nastąpiła możliwość uczenia się: demokracji, samorządności, decydowania o rzeczach mało i bardzo ważnych z ponoszeniem konsekwencji tych decyzji.

A filmy? To pytanie zadawane jest często przez zaniepokojonych sytuacją pedagogów, jak i ludzi, którzy nie są związani tak ściśle ze szkołą, ale którym jej los nie jest obojętny. Faktem jest, że są opóźnienia produkcyjne, osłabienie dyscypliny i intensywności studiów. Myślę jednak, że fermenty zaowocują pomyślnymi wynikami.

Z pewnością nastąpią zmiany programowe obejmujące nie tylko poszczególne przedmioty, ale całą ich strukturę. Struktura przedmiotów winna bowiem przystawać do nowych koncepcji profilu szkoły, nowego jej modelu, u którego podstaw leży konieczność wszechstronnego kształcenia kadr dla kinematografii. Zracjonalizowanie i podniesienie efektywności studiów, usamodzielnienie ich, stworzenie warunków do pełnego ujawniania inicjatywy i wyobraźni studentów oraz pedagogów, zaintegrowanie szkoły w jeden żywy, prężny organizm — to główne założenia powszechnej dyskusji, a co najważniejsze, pracy, która się w szkole rozpoczęła.

Jest rzeczą niezwykle istotną, by w pracy tej wzięli udział wszyscy, którym szkoła nie jest obojętna, a więc przedstawiciele środowiska filmowego, teatralnego i naukowego.

ANDRZEJ SAPIJA
(III rok reżyserii)

Myśląc o dniu dzisiejszym szkoły należałoby zadać sobie pytanie: Czy pięciomiesięczny okres walki o uzdrowienie PWSFTviT uczynił pacjenta zdrowym czy tylko rokującym polepszenie? Poglądy moje w tej mierze przedstawiają bardzo umiarkowany optymizm — nie biorę bowiem pod uwagę zgonu — i opowiadam się za diagnozą drugą.

Rozumiem, że bez zmiany struktur zarządzania szkołą każda reforma tego, co stanowi o odrębności i jakości uczelni, a więc o programie nauczania, będzie iluzją. Można mieć jednak żal, że walka o autonomię zajęła tak dużo, zbyt dużo czasu. Zabrakło go na razie na sprawy najważniejsze. Leżą jeszcze odłogiem tak ważne sprawy, jak nauczanie scenariopisarstwa, praca z aktorem, a więc dziedziny mające podstawowy i bezpośredni wpływ na jakość naszych przyszłych działań.

Czy można było pacjenta uzdrowić całkowicie? Myślę, że tak, ale tu już miejsce na fantazję. Aby osiągnąć ten cel należałoby wziąć pod uwagę istnienie Wydziału Reżyserii Uniwersytetu Śląskiego i nie opładając się na zakotwiczenie w tradycji dokonać radykalnych cięć, łącząc w innym mieście obie szkoły produkujące obecnie nadmiar kadry reżyserskiej. Nie znaczy to wcale, że dla każdego absolwenta musi znaleźć się miejsce pracy. Zawód ten był zawsze oparty o konkurencję. Ale jest coś niezdrowego w proporcjach, gdy o realizację filmu walczy nie dziesięć, a sto osób. Musi to prowadzić do błędów mecenasa w podejmowaniu decyzji i frustracji w środowisku.

Marzy mi się więc przeniesienie szkoły do Warszawy, do ośrodka najbardziej prężnego kulturalnie, gdzie łatwiej byłoby skompletować kadrę najwartościowszych wykładowców. Wyrywanie sobie przez obie szkoły pedagogów nie prowadzi do niczego.

Sytuacja kinematografii winna zmusić nas do podjęcia decyzji natychmiastowych, niekiedy nawet dramatycznych. Ilość wypuszczanych absolwentów jest odwrotnie proporcjonalna do zmniejszającej się z dnia na dzień ilości taśmy i sił produkcyjnych. Jawny absurd! Zakładałem przecież, że obracamy się w świecie fantazji.

TOMASZ WISZNIEWSKI
(III rok reżyserii)

Nastrojem dominującym dziś w PWSFTviT jest zmęczenie, sprawiające na przykład, że szkoła nie zaangażowała się bezpośrednio i jako całość w negocjacje studenckie z obecną w Łodzi komisją rządową, zmęczenie owocujące jednak wewnątrz szkoły ogromnie pozytywnie. Sytuację w szkole można bowiem określić jednym sloganowym zdaniem: „Koniec rewolucji, początek reformy".

Burzliwe wydarzenia jesieni obfitujące w konflikty wewnętrzne i frakcyjność działań, zagrażały wręcz chwilami bytowi szkoły — choćby w obliczu istnienia Wydziału Reżyserii Uniwersytetu Śląskiego. Błędem czy — jak wtedy sądzono — pryncypialną lub taktyczną koniecznością tamtych działań było bowiem ograniczenie ich do przemian strukturalnych, do przemian sposobu sprawowania władzy w szkole. Ograniczenie to powodowało w pełni uzasadnioną nieufność obserwatorów z zewnątrz i nie tylko z zewnątrz. Struktura władzy — stara czy nowa — ma bowiem to do siebie, że może być wypełniona zgoła zaskakującymi treściami. Hasłem jesieni był nowy skład Senatu, a nie konkretny kształt nowego programu. Czas ten nie był jednak bezowocny: aktywa szkoły to stojący ponad różnymi tendencjami personalno-artystycznymi nowo wybrany rektor to możliwość kolegialnego decydowania o przyszłości uczelni poprzez pochodzące z wyboru Rady Wydziału i Senat.

Szkoła jest zmęczona — kończy się więc rewolucja, zaczyna reforma. Świadczą o tym pojawiające się coraz powszechniej postawy reprezentujące myślenie pozytywistyczne i konkretne programy zmian. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że szkoła ma za sobą etap konieczny i niebezpieczny, przed sobą etap konieczny i trudny. Ma za sobą okres dezintegracji i zagrożenia jej funkcjonowania — przed sobą okres konsolidacji i nowych filmów. Proces ten dostrzegam przede wszystkim na Wydziale Reżyserii, decydującym — przynajmniej w opinii publicznej — o obliczu szkoły. Sformował się samorząd studentów. Wydziału Reżyserii, prowadzone są prace ankietowe na temat przyszłości programu, zaktywizowała się Rada Wydziału, a nowe władze dziekańskie mają więcej swobody w działaniu niż przed rokiem. Wydział i szkołę czeka też naprawa odziedziczonych po poprzednikach złych stosunków ze środowiskiem filmowym reprezentowanym przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich.

PIOTR MIKUCKI
(III rok reżyserii)

TEATR

RZECZ O SARZE BERNHARDT

Nie była piękna, a przecież mianem fascynującej określano jej urodę. Była dobra i zła, łagodna i despotyczna, kochająca wpatrzonych w nią ludzi, potrzebująca ich, a mimo to czasami pełna dla nich niechęci, wsłuchana w opinie o sobie i zupełnie się z nimi nie licząca, zmienna i stała, życzliwa i zazdrosna, uległa i kapryśna. Strzegła pilnie swojego z trudem i nie bez dramatycznej walki zdobytego prawa do samodzielnego decydowania o sprawach prywatnych i rzeczywiście wszelkie decyzje podejmowała sama, bynajmniej nie stroniąc od towarzyszącej jej, a zrodzonej właśnie dzięki owym decyzjom, atmosferze skandalu, w której zresztą czuła się tak dobrze, iż nasuwać się mogą podejrzenia, że sama z pełną świadomością wywoływała tę atmosferę, być może niezbędną jej jak oszałamiający narkotyk. O iluż kobietach można by powiedzieć to samo... O iluż bohaterkach wielkiej literatury, które bogactwo swych psychik zawdzięczają wielkim mistrzom mówimy to samo... Ale ona była tylko jedna, wykreowana przez samą siebie, podobna do wszystkich na świecie kobiet i taka od nich inna... Wielka i „boska" Sara... Sara Bernhardt.

W historii teatru jest ciągle największą, najwspanialszą aktorką. Znawcy sztuki spierają się między sobą czy mianem tym obdarzać „boską" Sarę, czy równie ciekawą choć inną, Eleonorę Duse. Historycy teatru z całą pewnością nie rozstrzygną tego problemu. Dagerotypowe fotografie, na których próbowano utrwalić sztukę obydwu gwiazd, są pozowanymi zdjęciami, w filmie Sara Bernhardt wystąpiła raz czy dwa razy zaledwie i z niewielkim powodzeniem, przy czym ona stała wtedy u progu starości, a dziesiąta muza dopiero raczkowała. Ani dagerotypowe fotografie, ani film, nie mogą w jej przypadku stanowić dowodu wielkiej sztuki. Pozostają zatem recenzje opisujące zjawisko jej aktorstwa i wspomnienia ludzi, którym przyszło zetknąć się z nią samą. Recenzje, co doskonale wiedzą badacze sztuki aktorskiej, nie zawsze spełnić mogą pożądaną w próbie rekonstrukcji zjawisk teatralnych rolę dokumentu. Ich wartość dokumentalna w wielkim stopniu zależy bowiem od umiejętności analizy działań aktorskich, które ze względu na złożoność ich istoty z trudem poddają się przekładowi na słowo pisane. To co w przypadku Sary Bernhardt w największym (o dziwo!) stopniu pozwala uwierzyć w jej dziś już niemożliwą do stwierdzenia wielkość to legenda, jaka po niej pozostała.

Legenda ta mówi o osobowości przede wszystkim. Największy talent bez osobowości, charakeru i siły, bez osobowości, która samo wejście na scenę czyni objawieniem przykuwającym uwagę i budzącym emocje widzów, zawsze „kurczy" się z czasem do cennego skądinąd zespołu niezbędnych umiejętności i owej także niesłychanie ważnej sprawności zawodowej. Sprawność zawodowa, choćby i największa, nie pozostawia legendy, a ledwie życzliwa pamięć blednie i zamiera. Legendy zaś są nieśmiertelne.

Legenda otaczająca pamięć wielkiej Sary Bernhardt i pierwsza przez nią sama podjęta próba określenia swojej osobowości jaką są jej „Pamiętniki" stały się inspiracją dla Johna Murrella autora sztuki „Wspomnienie", którą na swojej Małej Scenie zaprezentował Teatr im. Stefana Jaracza.

Czas tej sztuki płynie dwoma nurtami. Pierwszy — to kilka wieczornych godzin, podczas których „boska Sara" mająca już siedemdziesiąt pięć lat, wspomina wyrywkowo niektóre fragmenty swego bogatego życia i w słowach skierowanych do towarzyszącego jej sekretarza Georgesa Pitou próbuje ująć to wszystko, co nawet jej samej wydaje się niezwykle trudne do takiego utrwalenia piórem, by te zdarzenia migoczące w jej pamięci nie straciły blasku i owej kalejdoskopowości. Drugi nurt czasu scenicznego — to będący konsekwencją takiej konstrukcji przedstawienia czas przywoływany wspomnieniami bohaterki, których ona sama nie układa jeszcze chronologicznie. Czas młodości, dzieciństwa, dojrzałości artystycznej i kobiecej, czas blasków i cieni, sukcesów artystycznych i klęsk osobistych, ludzkich, które nie oszczędziły cierpienia i bólu nawet jej, mieszkance Parnasu, kapłance w świątyni Melpomeny. Przed Ewą Mirowską grającą rolę Sary Bernhardt stanęło wielkie zadanie: stać się siedemdziesięciopięcioletnią Sarą i wraz z nią, z tego schyłku życia wracać wspomnieniem w ów czas jakże dla Sary odległy i jakże jej bliski. Ewa Mirowska poradziła sobie z tym zadaniem doprawdy znakomicie Jako siedemdziesięciopięcioletnia Sara jest właśnie taka, jaką „boska" mogła być w tym wieku Despotyczna dla otoczenia i po prostu bardzo już zmęczona, choć za nic w świecie do tego tylko jednego uczucia nie przyznałaby się nigdy. Denerwuje ją powolność jej sekretarza, o którym wie, że jest jej bezgranicznie oddany, i któremu jest za to niesłychanie wdzięczna, ale jak on może tak o wszystkim zapominać i pracować tak wolno, przecież ona zawsze o wszystkim musiała pamiętać i całe życie przeżyła w zawrotnym wprost tempie... Czas okazał się dla niej okrutny bo po prostu mija, ale ona sama mimo amputacji nogi pójdzie jeszcze z wnukami do odległej i trudno dostępnej groty, i także — co najważniejsze zagra jeszcze wielką rolę jeśli autor nadesłanej jej sztuki zgodzi się odmłodzić postać, a ten nieszczęsny choć o ćwierć wieku młodszy od niej Pitou żyje i pracuje tak strasznie wolno i tak trudno ogarnąć mu niezmierzone przestrzenie jej pamięci i wyobraźni... Powroty w czas wspominany Ewa Mirowska rozegrała niezwykle sugestywnie znajdując na ich przedstawienie najlepszy sposób. Nie stawała się „w okamgnieniu" dwudziesto- czy jedenastoletnią Sarą. Starej Sarze także z trudem udawało się do nich wracać. Te wspomnienia nie ożywały radością swojej treści, i częściej wywoływały grymas bólu niż radość powrotu do dzieciństwa i młodości. Dzieciństwo i młodość były bowiem niezwykle dramatyczne. W nich widziała Sara to wszystko, co wracało potem goryczą i cierpieniem, a wracała wielka w gruncie rzeczy samotność i równie wielki smutek.

Rolę Georgesa Pitou gra w tym przedstawieniu Ryszard Sobolewski. Rola ta w dramaturgicznym zapisie wydawać się może dość niewdzięczna. „Wspomnienie" jest bowiem „rzeczą o Sarze Bernhardt" i na legendarnej aktorce skupił swą uwagę autor sztuki. W stosunkowo skąpym materiale potrafił jednak Ryszard Sobolewski znaleźć tworzywo, na którego bazie zbudował równie wielką i równie interesującą w swojej złożoności rolę. Rolę ostatniego, a może jedynego człowieka, który zrozumiał tajemnicę i wielkość Sary Bernhardt, człowieka, który jakby na przekór jej samej chce tę legendę utrwalić z potrzeby szlachetniejszej niż chęć wpisania się w nią. Ryszard Sobolewski gra człowieka, który bardzo, ale to bardzo dokładnie, wręcz metodycznie stara się zrozumieć wielkość o której wie, że jest dlań nieosiągalna i ten cel w jego znakomitej interpretacji Georges Pitou osiąga wtedy, kiedy nikt już wielkiej Sary zrozumieć nie może. Georges Pitou Ryszarda Sobolewskiego pokonuje wszystkie swoje opory, bariery innego wychowania i odmiennego intelektu, barierę zupełnego braku jakichkolwiek doświadczeń, których tyle ma „wielka Sara" i ten podjęty przez niego trud owocuje zrozumieniem jej wielkości, wielkości artystki i człowieka.

Bliższa staje się nam dzięki Ewie Mirowskiej i Ryszardowi Sobolewskiemu „boska" i odległa Sara Bernhardt, o której spektakl z wielką kulturą wyreżyserował Jacek Bunsch. Scenografia prosta i funkcjonalna jest dziełem Zofii de Inez Lewczuk i Tadeusza Paula.

EWA PANKIEWICZ

MUZYKA

MAHLER, BRUCKNER I CZYŻ

Muzykę Gustawa Mahlera najlepiej charakteryzują słowa samego kompozytora: **„Symfonia znaczy dla mnie budowanie świata wszelkimi możliwymi środkami istniejących technik"**. Dziesięć symfonii Mahlera, z których II, III, IV i VIII to dzieła wokalno-instrumentalne, składa się na przewrotny, pełen ironii i szyderstwa obraz świata, krążącego między sztuczną wesołością a fałszywą tragedią. Mimo to nie brak w tej muzyce fragmentów prawdziwie głębokich i wstrząsających jak właśnie Adagietto z V Symfonii czy cykl **„Kindertotenlieder"**, poprowadzone na ostatnim koncercie przez Henryka Czyża.

O tym słynnym fragmencie **Piątej** tak pisał Bogdan Pociej: **„Tu muzyką, jej melodyczną mową rządzi — jak niegdyś w intymnych miniaturach Schumanna — płynny rytm uczucia, ruch delikatnie kołyszący, powstrzymywany westchnieniem, wzbierający intensywną tęsknotą do pełni. To wyrazisty miraż szczęścia, bolesny przez swą nieuchwytność"**. Znakomita interpretacja Henryka Czyża w pełni potwierdziła niezaprzeczalne walory tej muzyki, o którą dotychczas jeszcze toczą się spory. Subtelna, pełna delikatnych niuansów gra smyczków, uwydatniająca długie, „nieskończone" frazy pełne specyficznej kolorystyki, pokazała na co stać naszą orkiestrę, gdy na podium staje wybitny dyrygent.

Solistką tego koncertu, kolejnego z cyklu **„I co dalej laureacie?"** była Jadwiga Rappe — alt, uczennica Zofii Bregy, Olgi Olginy i Jerzego Artysza, laureatka I nagrody na Międzynarodowym Konkursie Bachowskim w Lipsku. **„Kindertotenlieder"** — pieśni na śmierć dzieci, stały się w jej wykonaniu poematami opiewającymi miniony ból. Napisane do słów Rückerta, powstałe w tym samym co **V Symfonia** 1902 r., stanowią niewątpliwie najdoskonalszy cykl pieśni Mahlera. Owiane aurą **„Piękna zachodzącego"**, pełne niepokojących barw instrumentów dętych drewnianych, harfy, smyczków i czelesty zamykają krąg niemieckiej romantycznej liryki wokalnej, zapoczątkowany genialnymi pieśniami Schuberta. Jadwiga Rappe, dysponująca nośnym i śpiewnym altem o dużej rozpiętości dynamicznej, stworzyła w tym cyklu kreację pełną wyrazu i powściągliwej ekspresji. Jej duża kultura muzyczna i nienaganna technika pozwala widzieć w tej artystce wybitną interpretatorkę repertuaru oratoryjno-kantatowego i pieśniarskiego.

Drugą część programu wypełniła, tak rzadko, niestety, pojawiająca się na naszych estradach koncertowych, muzyka Antona Brucknera (1824—1896), która po dłuższym okresie niemal całkowitego zapomnienia przeżywa renesans zainteresowania na całym świecie. Trzon jego twórczości stanowi dziewięć symfonii, z których ostatnia (bez finału, pozostawionego w sześciu pełnych szkicach) stanowi według mnie najwybitniejsze dzieło muzyczne II połowy XIX w. **„W dotychczasowej historiografii** — pisze A. Chodakowski w Wielkiej Encyklopedii Muzycznej PWM — **tradycyjnie eksponowano w XIX w. nurt Beethoven-Wagner, nie dostrzegając lub też odsuwając w cień linię Schubert-Bruckner. To niesłuszne stanowisko wymaga weryfikacji, zwłaszcza wobec dalszego rozwoju sztuki muzycznej (po dzień dzisiejszy), w którego świetle schubertowsko-brucknerowska koncepcja płaszczyzn tematyczno-brzmieniowych okazuje się szczególnie trwała i płodna"**. Bruckner, nieciekawy, aliteracki człowiek, uporczywie poprawiający swe symfonie, nękany depresjami nerwowymi, mania liczenia wszystkiego, obsesja religijna stworzył gigantyczne dzieło przerastające epokę. Harmoniką bogatszą od wagnerowskiej i specyficznie oszczędną, lecz pełną blasku instrumentacja wytyczył drogi dziełom Mahlera, Schönberga, Prokofiewa, Szostakowicza.

Należy wyrazić pełne uznanie i wdzięczność dla Henryka Czyża, który podjął się przedstawienia tej wspaniałej, choć szalenie trudnej wykonawczo muzyki. Posługując się z równą maestrią słowem i batutą zaprezentował fragment Adagia z IX Symfonii oraz Scherza z IX i II Symfonii (w nieco skróconej wersji) upatrując w nich wpływów... polskiego mazura. Niewątpliwie, taka koncepcja sprzyja popularyzowaniu tej trudnej muzyki (rytm mazura ujawnia się przy odpowiednim przyśpieszeniu tempa i wyrazistym akcentowaniu), można jednak wątpić czy Bruckner skrajne części IX Symfonii, naznaczone mistyczno-apokaliptycznym piętnem spraw ostatecznych, podzielił zamaszystym tańcem, który stanowi raczej **„danse macabre"** spokrewniony z Walcem-Mefisto Liszta. Mimo jak najlepszych chęci orkiestry i dyrygenta nie wszystkie elementy tej muzyki zostały dopracowane: szczególnie w tutti fragmentów z IX panował pewien chaos spowodowany niewyeksponowaniem partii prowadzących instrumentów dętych i odpowiedniego zróżnicowania dynamiki pozostałych planów brzmieniowych. Jednak ostateczne wrażenie potwierdziło słowa Alfreda Einsteina: **„Można uznać za jeden z cudów historii, że w pełnym rozkwicie ruchu romantycznego, który sam siebie uważał za rozszczepiony, rozdarty i chory, mogła się jeszcze zrodzić sztuka równie pozaczasowa, równie mocna i monumentalna, jak sztuka symfoniczna Brucknera"**.

JACEK KRAKOWSKI

LITERATURA

PORTRET ZOFII NAŁKOWSKIEJ

Wzmożone w ostatnich latach zainteresowanie badaczy twórczością Zofii Nałkowskiej przyniosło między innymi prace Hanny Kirchner, Włodzimierza Wójcika, Ewy Frąckiewicz-Wiegandtowej. Dołącza do nich opublikowana niedawno w PIW-owskiej serii „Portrety współczesnych pisarzy polskich" monografia Bogdana Rogatki. Zgodnie z założeniami owej serii charakteryzuje się ona zwięzłością, pozwalającą wszakże na przekazanie możliwie znacznej ilości informacji biograficznych oraz dokonanie wnikliwej analizy literackiej.

Istotną zaletą książki Rogatki jest precyzja i jasność stylu, rzeczowość idzie tu w parze z przystępnością wykładu. Zwracam na to uwagę, bo nie są to cechy zbyt często spotykane w naszej krytyce. Powiedzmy też od razu, że Rogatko nie miał łatwego zadania, już choćby z powodu narosłych z upływem czasu stereotypów życia i twórczości autorki „Medalionów", jak również z uwagi na stosunkowo dużą liczbę prac krytycznych i historyczno-literackich jej poświęconych. Wyszedł z tego obronną ręką, bo zrozumiał rzecz podstawową — niełatwo (jeśli to w ogóle jest możliwe) stworzyć jednorodny, skończony i zamknięty obraz Zofii Nałkowskiej, kobiety i autorki. Miast tego krakowski krytyk szkicuje portret pisarki „w miarę wielokrotny, uwzględniający rozmaitość punktów widzenia oraz dynamikę rozwijającej się w określonym czasie historycznym osobowości". Płyną z tego oczywiste konsekwencje: kluczem do wszelkich interpretacji staje się próba zrekonstruowania i zrozumienia osobowości Nałkowskiej, wydobycia tego wszystkiego, co w jej charakterze było stałe, i zwrócenie uwagi na zmiany, zaznaczające się wraz z upływem czasu oraz historycznymi i prywatnymi doświadczeniami. Jedną z podstawowych cech osobowości Nałkowskiej ujawniła notatka poczyniona w „Dziennikach" w roku 1911: „Niczego nie chce mi się osiągać ani nawet poznawać poprzez duszę ludzkości czy świata. Jedyną drogą w głębiny jest dla mnie zawsze moja prywatna dusza lub czyjaś inna prywatna dusza. Nic zbiorowego". Można — upraszczając oczywiście — powiedzieć, że tylko co zacytowane oświadczenie stanowi swego rodzaju oś konstrukcyjną książki Rogatki, wykazującego dowodnie, w jakim stopniu pisarka rzeczywiście hołdowała temu stanowisku, na ile zaś pod wpływem późniejszych wydarzeń odeń odeszła.

Autor monografii pokazuje, jak dalece zafascynowana była Nałkowska niemożnością przekroczenia granicy pomiędzy jednym a drugim człowiekiem, zwłaszcza między przedstawicielami obu płci. — „Pomiędzy człowiekiem i człowiekiem jest ciemność" — dobitnie powiada jedna z bohaterek „Domu kobiet". W rozmaitych wersjach, wśród rozmaitych realiów, z różnie rozłożonymi akcentami problematyka ta przewija się przez całą twórczość autorki „Romansu Teresy Hennert". Życie uczuciowe bohaterów (częściej zresztą bohaterek) utworów Nałkowskiej przeważnie staje się źródłem konfliktów i dramatów, rzadko daje złudzenie szczęścia. Nie można bowiem „dopasować" się do partnera, nie będąc w stanie poznać jego myśli, nie mogąc przekroczyć poznawczej granicy. W związku z tym trudno w gruncie rzeczy osądzać innych. Przecież tak naprawdę liczymy się tylko my sami. Stanowimy dla siebie (i dla innych) psychologiczną niespodziankę.

Nałkowską od najmłodszych niemalże lat cechował wyraźny dystans intelektualny wobec siebie samej, wobec ludzi, wobec świata. Taka właśnie postawa miała być pomocna w rozumieniu otaczającej rzeczywistości, wykluczała jednak bezpośrednie zaangażowanie (pewne zmiany w tym względzie nastąpiły właściwie dopiero po drugiej wojnie światowej). Ów właśnie dystans intelektualny domagał się rozumnej tolerancji pojedynczego człowieka, zwłaszcza stojącego niejako na uboczu świata. Nowe stanowisko zapowiadały dopiero „Medaliony" i „Węzły życia". Choć może nie tylko, autor monografii cytuje przecież wypowiedź jednej z postaci „Niedobrej miłości", którą to wypowiedź — jak zaświadcza Hanna Kirchner — Zofia Nałkowska brała pod uwagę jako ewentualny fragment swego poselskiego wystąpienia w 1946 roku: „Nastaje nieznośny, pokorny, ciężki trud, aby tę rzeczywistość — już w nowych kategoriach — jakoś usprawiedliwić i wytłumaczyć, jakoś po swojemu interpretować, jakoś się z nią za wszelką cenę s o l i d a r y z o w a ć... Może wszyscy to właśnie poniekąd robimy — i stąd zadanie nasze wydaje nam się dość wdzięczne".

Naszkicowany przez Bogdana Rogatkę portret Zofii Nałkowskiej wykazuje ścisłe związki i uwarunkowania między kobiecością poszukującą a poszukującym intelektem, pokazuje intelektualistkę, która w oparciu o szeroko pojęte dziedzictwo kultury usiłowała tworzyć przymierze ze zmieniającym się światem, po to, by sobie i innym przyglądać się nieco z ubocza. Dzieje sukcesów i klęsk takiej postawy — to po prostu dzieje Zofii Nałkowskiej.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

B. Rogatko, Zofia Nałkowska, Portrety współczesnych pisarzy polskich, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, str. 194, nakład 10 000 + 315 egz., cena zł 25,—

Kto jest grafomanem?

Niedawno mój kolega z „Głosu Robotniczego" zacytował, jako przykład grafomanii, taki wierszyk:

„Ej lubko ma,
Trzewiczki zzuj
I cicho, sza
W koszulce stój!"

Zadumałem się nad tym fragmentem. Jest to rzeczywiście grafomania. Redakcja krakowskiego „Życia" w roku 1897 tak odpisała autorowi tego wierszyka: **„Tylko delikatność nasza powstrzymywała nas długo w wydaniu sądu o oryginalnych utworach muzy (...) które nie przestają obudzać w całej redakcji wybuchów wesołego śmiechu, ilekroć komuś z jej członków podpadną pod rękę".**

Może ktoś zapytać skąd wiem, gdzie i w którym roku ów nieszczęsny autor wysyłał wiersze, które stały się dziś obiegowym synonimem grafomanii? Otóż wiem, ponieważ grafomanem tym był — ni mniej ni więcej — tylko... **Karol Irzykowski**, jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy.

Więc jak to jest? Grafoman czy wybitny pisarz?

Sztuka, w przeciwieństwie do nauk ścisłych, jest takim przedziwnym tworem, że granice między małością a wielkością bywają w niej zatarte. Sprawa jest zresztą bardziej pokrętna. Ten sam autor dziś może napisać ramotę a za rok genialne dzieło — albo tego samego dnia może napisać znakomity odkrywczy esej i przeraźliwie grafomański wierszyk.

Same kryteria też nie są ścisłe. Znany jest dowcip krakowskich żartownisiów z kręgu „Zielonego Balonika", którzy do wybitnego historyka literatury **Wilhelma Feldmana** wysłali — napisany z błędami ortograficznymi — liryk **Juliusza Słowackiego**. Feldman tak się zasugerował owymi błędami, że na łamach czasopisma... zatytułował ów liryk jako przykład grafomanii, radząc autorowi, aby zaprzestał pisania.

Ten sam dowcip powtórzyło w kilkadziesiąt lat później grono warszawskich pisarzy wysyłając do **Juliana Przybosia**, preparowane dla zabawy wierszyki „w guście Przybosia". Wybitny poeta dał się oczywiście na to nabrać i odpisywał, pełne pochwał listy na podany przez żartownisiów adres gosposi jednego z nich.

Na pytanie kto jest grafomanem nie ma odpowiedzi. Trzydzieści lat temu **Adam Ważyk**, grzmiał pryncypialnie, że trzeba „ukręcić łeb mieszczańskiemu kanarkowi" — czyli poezji Konstantego Gałczyńskiego, któremu zresztą zarzucano grafomanię także z pozycji dalekich od lewicy. A tu poezja Gałczyńskiego wciąż jest żywa — natomiast w parę lat później odmówiono poziomu artystycznego „Poematowi dla dorosłych" Ważyka, i zrobił to nie byle kto, bo wspomniany wyżej Julian Przyboś. Dziś w ćwierćwiecze „Poematu" wraca on do nas w zupełnie innych barwach i nikt mu nie zarzuca literackiej tandety... Tak się toczą opinie i oceny w sztuce. Ma na nie wpływ zbyt wiele czynników zewnętrznych i subiektywnych.

Właśnie — subiektywnych. **Tadeusz Peiper**, wybitny pisarz i teoretyk literatury, twórca słynnej „Zwrotnicy" opublikował w 1923 roku artykuł pt. „Iwaszkiewicz idiota" w którym pisze: „Iwaszkiewicz — to zero o idealnej próżni (...) Iwaszkiewicz — który w każdym kraju o nie sfałszowanym systemie miar mierzony byłby milimetrem. Iwaszkiewicz — po którym za kilka lat pozostanie tylko wspomnienie tych słów, którymi go tutaj zaszczyciłem".

Jakże się Peiper mylił! Zarówno po Iwaszkiewiczu jak i po jego bezwzględnym krytyku zostanie wspaniały, wielki dorobek, będący niezbywalną wartością polskiej literatury. Obaj w niej pozostaną, choć jeden drugiego uważał za grafomana.

Kto zatem jest grafomanem? Wszyscy albo nikt. Jest to dylemat, który zarówno literatura, jak i jej czytelnicy muszą bezustannie, codziennie rozstrzygać na własny — nie krytyków i pisarzy — rachunek.

Może właśnie w tym tkwi ogromna wartość i urok literatury, że czytelnik sam ma prawo i obowiązek tworzyć własne, subiektywne systemy wartości?

WIDOK

TRUDNA SZTUKA DEMOKRACJI

Nie ma zgody wśród publicystów. Jedni uważają, że trzeba uczyć się demokracji. Inni, że nie trzeba, że mówienie na ten temat i nakłanianie ludzi, aby uczyli się demokracji, to działanie przeciw odnowie. Widać sądzą oni, że my już rodzimy się ze zmysłem demokracji.

Jest zebranie. Siedzę sobie na sali i słucham. Wszyscy są za. Za odnową oczywiście, niezależnie od tego za czym byli jeszcze wczoraj. W istocie, skoro wszyscy są za, to nie ma o czym dyskutować. Uchwalić rezolucję wystarczy i rozejść się do domu. Ale nie. Dyskutuje się na ogół, ile kroków trzeba zrobić do przodu. I kto więcej proponuje, ten ma większy poklask. Ale na sali siedzi sobie człowiek, który się zastanawia, czy to aby kierunek wybrano właściwy, czy te kroki, ile by ich nie było, nie warto zrobić troche w innym kierunku? Ma wątpliwości. Prosi więc o głos, bo wierzy, że każdy, kto ma wątpliwości, kto jest innych poglądów będzie wysłuchany, a być może nawet zrozumiany. Zaczyna mówić i spotyka się z okrzykami, gwizdami niemal. — Dość! — Niech przestanie! — Nie zawracać głowy! — Tak krzyczą ci, którzy wielkimi krokami chcą biec ku nowemu. A przecież nie widzą, że robią to samo. Po staremu bowiem też tak bywało. że mówili i słuchani byli tylko ci, którzy myśleli podobnie. Innym odbierało się głos.

Czyż więc nie trzeba uczyć się demokracji?

Trzeba! Tym bardziej trzeba, że każdy demokrację rozumie inaczej. Dla niejednego demokracja, to wolność głoszenia j e g o poglądów. Kto się z tymi poglądami zgadza, ten może podobne poglądy głosić swobodnie, kto jest przeciw, ten lepiej niech milczy. Można dyskutować tylko wyrażając poparcie. Alę ja już tak rozumianą demokrację skądś znam. Nie jest to nic nowego. Na poprzednim etapie tez tak bywało.

Trzeba się zatem uczyć demokracji, bo demokracja to również szacunek dla poglądów przeciwnych, to kultura dyskusji nawet zawziętych, ale zmierzających do określonego celu, wyraźnie sobie wytyczonego. To taka umiejętność dyskutowania, kiedy dyskutanci wiedzą, o co im chodzi, o co się spierają, a nie spierają się tylko dla poklasku, dla przyjemności słuchania swego głosu i upajania się własną niby argumentacją.

Demokracja to również poszanowanie prawa. **„...nie może chwalić się prawdziwą wolnością żadne państwo, w którym życie obywateli nie podlega określonym normom"** — te słowa napisał Andrzej Wolan. A było to w 1572 roku. Andrzej Wolan był sekretarzem Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III, pełnił wiele misji dyplomatycznych, był pisarzem politycznym. A był to wiek XVI. Od bardzo dawna więc uczymy się demokracji. Zdajemy egzaminy. Jedne lepiej, inne oblewamy. I wszystko zaczynamy od nowa.

„Należy bowiem w społeczeństwie ludzkim ustanawiać tylko takie prawa — i im wyłącznie nadawać moc obowiązującą — które wynikają z naturalnego poczucia rozumu opartego na dobru i sprawiedliwości...

Aby więc zapewnić ludziom prawdziwą wolność i spokojne życie należy wprowadzać jako prawo taką tylko ustawę, która jest podyktowana przez rozum i wynika z nakazów zdrowego rozsądku. Prawem zaś wypływającym z wiecznie trwałej natury jest: nikomu nie zadawać gwałtu, oddawać każdemu co mu się należy i — jak to mówi Cyceron — powściągać wszelką pożądliwość, bronić tego, co własne, od rzeczy cudzej wstrzymywać myśli, oczy i ręce." — To też Andrzej Wolan i też wiek XVI. Dawno to było, a jakie aktualne. Okazuje się, że oni wówczas też robili swoją odnowę. I też im się nie wszystko udawało.

Warto — jak z tego widać — sięgać czasem do starych ksiąg, aby dzięki temu móc inaczej patrzeć na to, co się wokół nas dzieje. A dzieją się przecież rzeczy różne. Ot choćby i takie, że w imię demokracji — bardzo dowolnie rozumianej — oduczą się ludzi demokracji, narzucając wolę mniejszości większości, pozbawiając prawa głosu ludzi o odmiennym zdaniu, choćby to odmienne zdanie mieli w najbłahszej sprawie. A i na cudze rękę się podnosi, własnego nie szanuje. A i nieudolność ujawnia się wielka i to wśród tych, którym przyszło władzę sprawować. Ciągle nowe konflikty wybuchają nie dotrzymuje się zobowiązań i umów, co też sprzeciwy wywołuje. Lenistwo pleni się coraz silniej. Ludzie z niepokojem pytają: — co to będzie?

„...na całym niemal świecie istniały zawsze narody — pisał Andrzej Wolan w 1572 roku — które mimo życia według ustalonych ściśle praw nie mogły uważać się za całkowicie zabezpieczone od wszelkiej niewoli. Dlatego też trzeba należycie wyjaśnić, co to jest moc prawa i podać jego definicję, ażeby z powodu nadużywania tego terminu przez nieuków, prawo, nazywane zgodnie przez wszystkich mędrców fundamentem wolności, nie obróciło się w narzędzie niewoli."

Otóż to! — jak powiada jeden z moich przyjaciół. A ja tylko dodam. uczyć się warto przez całe życie, również demokracji.

MARCIN RODAK

TELE-ECHA

Andrzej Bober w piątkowych „Listach o gospodarce" zemocjonował parę tysięcy telewidzów widokiem paczek z zagranicy, które zalegają poznańskie magazyny, czekając na ekspedycję. Pączka z zagranicy, nawet niekoniecznie z tzw. drugiego obszaru płatniczego, wciąż jeszcze (teraz chyba tym bardziej) jest w stanie podekscytować najbardziej chłodne umysły. Pocztowcy — jak obiecywał bez przekonania redaktor Bober — zrekompensują straty moralne: to co miało być niespodzianką wigilijną, będzie świątecznym gościńcem na Wielkanoc. Nie dla wszystkich, bo oto prasa donosi o kradzieżach, o fermentacjach i innych tego rodzaju procesach gnilnych (przepraszam za grubsze słowo), całkowicie niweczących trudy filantropów z Zachodu. Właśnie znajomi otrzymali byli w tych dniach paczkę. Wiedzieli o niej od kilku tygodni z listu, czekali z coraz większą niecierpliwością. Gdy wreszcie nadeszła, gdy rozplątali już wszystkie sznurki, gdy uporali się z licznymi pieczęciami lakowymi, gdy na koniec dotarli do wnętrza, znaleźli tam, ni mniej ni więcej, kilo cukru (sic!), kilo ryżu (sic! sic!), herbatniki (nie mnożę już wykrzykników, aby ktoś nie pomyślał, że w ten sposób zwiększam sobie wierszówkę), trochę słodyczy, aha, i kilo mąki. Istne „coś z życia" i to międzynarodowego!

Zacząłem od paczek, choć z większym zainteresowaniem oglądałem dyskusję o licencjach. Pan dyrektor, któremu przyszło za nie odpowiadać, nie tak łatwo dawał się zbijać z pantałyku. Nawet sztucer go nie zaskoczył. Panowie redaktorzy z Najwyższej Audycji Kontroli, choć do tematu byli przygotowani (kto to był ów anonimowy informator „z miasta"?) kontrowali dyrektorskie odpowiedzi nazbyt pośpiesznie. Obiecali, że do tematu wrócą. Że warto, nie trzeba dodawać. W dalszym ciągu jest to najbardziej wiarygodna audycja telewizyjna. Niekiedy jej rezonans społeczny jest zastraszająco brutalny. Dlaczego w Łodzi zabrakło nagle proszków do prania? Właśnie za przyczyną „Listów o gospodarce". Po jakiejś piątkowej migawce pustych półek sklepów chemicznych w Warszawie sobota stała się dniem proszku do prania. Ludzie biegali od kiosku do kiosku wykupując wszystko co się pieni, pierze i ułatwia mycie. Jednak wierzymy jeszcze nie wierzy w umiejętności racjonalnego i rozsądnego myślenia swoich widzów. To także było błędem redaktora Samitowskiego: miast przedstawić w sposób równoznaczny racje obu stron, postawił jednoznaczną (a niepopularną!) kropkę nad i. Stąd pytania o prawdziwość tej kropki.

Znam przypadek, kiedy lekarka na krytykę swojej beztroski wobec chorego, odsłoniła półkożuszek pokazując na znaczek „Solidarności", jakby on miał siłę atrybutu nietykalności. Chyba nie w tym rzecz. Nie uważam wcale, że np. Adam Hanuszkiewicz jest wybitniejszym reżyserem od kogoś tam, bo występuje w tv ze znaczkiem „Solidarności" w klapie. Neofityzm w każdym przypadku nie wróży nic dobrego. Piszę o tym, bo sam taki znaczek noszę z wiarą w jego przeszłość i przyszłość.

Moi czytelnicy mogą mi mieć za złe, że pomijam programy artystyczne. Rzeczywiście mieliśmy na małym ekranie kilka dobrych filmów (w tym serial o Martinie L. Kingu, którego aktualność zasadzała się wcale nie na antyrasistowskiej wymowie), całkiem niezły teatr („Cesarz", „Wojna w Polszcze pospolita", „Colas Breugnon"), no i tańce na lodzie (jeśli ktoś amator). Jednak nie o nich gwarzą telewidzowie. A moje felietony chcą być echem tych pogwarek.

GRZEGORZ GAZDA

Cesarskie aluzje

Ryszard Kapuściński, jeden z asów reportażu polskiego, rozpoczął druk swoich rewelacyjnych relacji z Etiopii w 1977 roku. Stały się one wkrótce bestsellerem a to z dwóch powodów. Przede wszystkim autor dokonał gruntownego przewartościowania tkwiącego w naszej świadomości społecznej stereotypu. Po prostu kazał nam inaczej spojrzeć na osobę ostatniego władcy Etiopii, cesarza Hajle Sellasje I.

Należę do pokolenia, które w sposób już świadomy przeżywało napastniczą wojnę faszystowskich Włoch przeciw Abisynii (taka nazwa Etiopii była u nas wówczas panująca) rozpoczętej w październiku 1935, a zakończonej w maju 1936 r. Nasza sympatia (nie ta oficjalna, rządowa) towarzyszyła wówczas dzielnie broniącemu się przed kolonialnym jarzmem narodowi afrykańskiemu, który już raz odparł był włoskich najeźdźców, gromiąc ich w 1896 roku pod Aduą.

Jak mówię więc, solidaryzowaliśmy się z walką Abisyńczyków, nazwiska ich dowódców takich jak Ras Seyum, czy Ras Kassa pozostały mi do dziś w pamięci. Szczególnym uznaniem darzyliśmy jednak osobę cesarza Hajle Sellasje, noszącego tytuł: negus negesti (król królów), który stał się symbolem walki o niezależność kraju. Gdy po podbiciu Etiopii przez zmotoryzowane wojska marszałków Badoglio i Grazzianiego Hajle Sellasje udał się do Wielkiej Brytanii na emigrację, towarzyszyło mu nasze współczucie.

Pięć lat trwało wygnanie władcy abisyńskiego. W 1941 r., w warunkach okupacyjnej nocy, cieszyliśmy się przecież wiadomością, że wojska brytyjskie oswobodziły Etiopię, a prawowity jej władca powrócił na tron królowej Saby. Hajle Sellasje rządził Etiopią długo, najpierw jako regent, a od 1930 roku jako cesarz, łącznie blisko sześćdziesiąt lat. Zdawało nam się, że jest to władca światły, cieszący się szacunkiem i miłością poddanych. Pierwszym zaskoczeniem było obalenie cesarza w 1974 roku przez grupę rewolucyjną wojskowych. Ostatecznego wyłomu w naszych poglądach dokonał Kapuściński.

Reportaże swoje pisał już po śmierci Hajle Sellasjego. Z rzadką u naszych dziennikarzy inwencją dotarł do ludzi z najbliższego otoczenia cesarza. Niektórzy z nich ukrywali się przed karzącym ramieniem rewolucji. Z rozmów z tymi ludźmi, którzy nie otrząsnęli się jeszcze z fascynacji osobą cesarza, Kapuściński utkał wizerunek Hajle Sellasjego daleko odbiegający od naszych o nim wyobrażeń.

Ponury jest ten obraz satrapy, nie podlegającego w sprawowaniu władzy jakiejkolwiek kontroli społecznej, traktującego pańśtwo i owoce pracy całego narodu jako swą prywatną własność. Rządy cesarskie opierały się na skorumpowanej elicie biurokratycznej. Łaska władcy była jedynym gwarantem kariery i bogacenia się, nic więc dziwnego, że otoczenie Hajle Sellasjego ubiegało się o jego względy nie przebierając w środkach. W tym świecie intryg dworskich i donosów państwem kierował człowiek rodem jakby z mroków średniowiecza, półanalfabeta, któremu najdalsza była jakakolwiek troska o los milionów poddanych.

Czytając charakterystykę cesarza zaprezentowaną nam przez Kapuściskiego, przecieraliśmy ze zdumieniem oczy, rewidowaliśmy nasz stosunek do negusa negesti. Zaraz potem jednak nachodziły nas inne refleksje, nasuwały się natrętnie skojarzenia z sytuacją w naszym kraju w latach siedemdziesiątych. Zbieżność wielu wypaczeń życia społecznego Etiopii z tymi, które dotknęły wówczas Polskę, odsłaniała nam drugie dno reportaży Kapuścińskiego, ich intymne posłanie dalekie od wszelkiej egzotyki.

Oczywiście nie oznacza to, że dla Kapuścińskiego Etiopia była tylko kostiumem, maską, jako rzetelny dziennikarz dał nam prawdziwy, nie upiększony obraz ostatniego cesarza etiopskiego. Aluzyjność dopuszczał tam, gdzie na nią było miejsce, gdzie sytuacje etiopskie wydawały nam się niebezpiecznie znajome...

Jerzy Hutek dokonał pierwszej inscenizacji niedramatycznego tekstu Kapuścińskiego w 1978 roku na Małej Scenie Teatru im. Jaracza w Łodzi. Przedstawienie to spotkało się z żywym przyjęciem w kraju, czego dowodem fakt powierzenia temu samemu reżyserowi inscenizacji „Cesarza" w warszawskim Teatrze Powszechnym. Ostatnio tę właśnie inscenizację mieliśmy okazję oglądać na ekranach telewizyjnych.

To widowisko przyjąłem z trochę mieszanymi uczuciami. Odpadł już atut odwagi inscenizatora, który w dużej mierze zadecydował o sukcesie „Cesarza" przed trzema laty. Ponadto statyczna formuła inscenizacyjna, której już w teatrze zarzucić można było brak dramatycznego crescendo, w telewizji dała o sobie znać jeszcze wyraźniej.

A w ogóle to szkoda, że telewizja uciekła się do przeniesienia spektaklu teatralnego. Myślę, że tworzenie od podstaw widowiska telewizyjnego zmusiłoby reżysera do szukania nowych rozwiązań inscenizacyjnych.

Te zastrzeżenia nie zmieniają faktu, że wybór tekstów Kapuścińskiego stanowił nie lada ucztę, a na podkreślenie zasługuje rzadka uroda kostiumów zaprojektowanych przez Elżbietę Iwonę Dietrych.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. lat w Warszawie nr 1153-201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 248. K-2.